

1 745.503

MIKOŁAJ ARŻAK

ODKUPIENIE
I INNE OPOWIADANIA

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1965

ODKUPIENIE

I INNE OPOWIADANIA

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM CXX

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTYTUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,

91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par MAISONS-LAFITTE (S.-et-O.)

MIKOŁAJ ARŻAK

ODKUPIENIE

I INNE OPOWIADANIA

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1965

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001010618316



II 745.503



© Copyright by INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L., 1965

1966W418

ODKUPIENIE

*Wciąż obserwuję was, niechący,
i widzę, jak was chwyta trwoga,
kiedy gadacie o służących,
o meblach, wannach, lub o Bogu.*

*O, mili, toż w rzeczywistości,
jak wy, tak samo jestem sprytny,
lecz nagle — przejdzie mróz po kościach
na cześć ptaszników nieuchwytnych*

*Wtedy was sprzedam, wtedy zdradzę!
A czemu? Bo o zmierzchu mglistym
nagle przypomniał mi przypadek
nienawiść tłumu do artysty.*

Ilja Czur — „Do towarzyszy inteligentów”.

Nastała moda na złodziejskie pieśni. Stopniowo i powoli pieśni te przenikały z Dalekiego Wschodu i z Dalekiej Północy, nagle wybuchając w restauracjach węzłowych stacji. Dekret o amnestii przyśpiewywał je przez zęby. Niby patrol armii w ofensywie, poszczególne piosenki błąkały się w pobliżu wielkich miast, ich takt wystukiwały zelektryfikowane kolejki podmiejskie, aż wreszcie barki 58-go artykułu amnestii wniosły te pieśni do miast. Zaczęła je śpiewać inteligencja; było w tym coś wyjątkowo pikantnego, gdy w zaciszną rozmowę o „Comédie Française”, albo w rozważaniach dziarskich chłopców z wydziału filologii o aliteracjach i asonansach „czarnej” literatury, wdzierało się nagle melancholijne przekleństwo zdychającego łagielnika. Zarumienione od mrożonej wódki panie wymawiały wtedy ze smakiem:

*Naczelniku mój, naczelniku,
puść mnie do domu...*

A jeśli któraś z nich nagle dostawała dreszczy i próbowała przełknąć ostre słowo, dotychczas bezużytecznie zawarte w jej słowniku, zawsze trafiał się znawca, który mówił:

— Duszko, przecież to li-te-ra-tu-u-u-ra!

— Więc wszystko stawało się oczywiste. Tak, oszalałe wilcze wycie, zawszzone koszule, wrzody rozjątrzone przez sztywne portki, „pajok”, który zlatywał do zrozpaczonych kiszek grudą gliny — wszystko to zamieniło się w literaturę...

Ale zdarzało się i tak, że któryś z tych czystych, wymytnych, sytych ludzi nagle odczuwał jakiś niepokój, coś jakby zabobonny strach: „Boże, co ja właściwie robię?! Dlaczego śpiewam te pieśni? Dlaczego wywołuję wilka z lasu? Przecież to właśnie *tamto*, zjawiające się w najbardziej oddalonym kącie pokoju, pozbawione już, jak nieistotnego szczegółu, tradycyjnego nocnego dzwonka, zimną, oślizgłą mgłą oddzielającą mnie od towarzyszy zebrania, wlokące „przez tundrę, po szerokiej drodze”, przy wrzaskach konwojentów i naszczekiwaniu psów... Czemu, dlaczego uśmiecham się, że te słowa są takie naiwne? Przecież to na serio, przecież to naprawdę! Ach, żegnaj, Moskwo, żegnajcie wszyscy! Wezmą do rąk karabinki, wycelują stalowe lufy i na pewno zabiją mnie. Ech, diabli nadali, co też na mnie naszło!”.

Więc potrzasałem głową (bo piszę sam o sobie), wypijałem kolejny kieliszek i macałem kolano cudzej żony, siedzącej obok.

Ale pieśń rozbrzmiewała nadal, pasowała do uśmiechu, a złowrogie cienie wypęły z pokoju, przez przedpokój, na schody.

I już tam zostawały.

I

W bufecie nie sprzedawano piwa, gdyż w foyer odbywał się wykład o elektrycznych przewodnikach. Tak z szacunku dla nauki zarządził dyrektor kina. Bufetowa, cała w wypiekach z oburzenia (to podrywało wykonanie planu) szmyrgnęła na tacę kanapkę z wyschniętą siemgą. Żułem tę siemgę i rozglądałem się po foyer. Kino było trzeciorzęd-

ne i nowe prądy go nie dotknęły: na ścianach w dalszym ciągu wisiały portrety przodowników produkcji. Starszawy wykładowca coś tam mamrotał znudzonym i niewyraźnym głosem do kilkunastu bodaj słuchaczy, od czasu do czasu pokazując jakieś przedmioty, wyrobione, tak na oko, z plastyku.

Irina miała po pracy jakieś zebranie związku zawodowego widocznie, przedwyborcze, więc mogliśmy się spotkać dopiero o ósmej. Ano cóż, do początku seansu pół godziny, film potrwa półtorej, na piechotę do Kurskiego dworca — dwadzieścia minut, można było wypełnić cały czas. Byle by tylko nie wpaść na znajomych. Chciaż co prawda, ta trzecia, zbędna osoba niezawsze bywa niepotrzebna. Jej obecność umożliwia mówienie z niewinną miną takich rzeczy, że wargi Iriny zaczynają drgać; można dowcipkować, balansować na cienkiej linii konwersacji, zaś we dwoje cała ta gra nie ma żadnego sensu. W ogóle Irina stała się ostatnio niełatwa. Ostatecznego zbliżenia, które zainicjowałoby nowy stosunek, jeszcze nie było, a cała reszta dawno już obgadana: dzieciństwo, wojna, ewakuacja, wspólni znajomi. Luki w rozmowie najlepiej zatykać pocałunkami, ale dokąd ukryć się przed ludźmi? W zimie chłód, a obecnie ściemnia się tak późno, że mimowoli trzeba zachowywać się przyzwoicie.

Siedziałem roztargniony i przyglądałem się publiczności. A swoją drogą, jaki nieładny chód ma większość kobiet! Za dużo pracują, czy jak? A ot cyganki, wszystkie, jedna w drugą, idą jakby płynęły, tylko spódnice falują...

*Ciągle dzwonią, dźwięczą, nęcą i skłębiają się
słowa mroczne, jak porwane w zryw obłoki,
idą, płyną cyganichy i huśtają się
na obcasach wykrzywionych i wysokich.*

To Miszka Łurje tak śpiewa przy wtórze gitary. Ależ śpiewa! Szkoda, że ja tak nie potrafię. I co to za kretyn wpadł na pomysł, że gitara to burżuazyjny instrument?

Leniwie i obojętnie przyglądałem się twarzom. Jedne różniły się kolorem, inne były jednostajne, jak brukowe kostki. Nagle spojrzenie zatrzymało się na twarzy jednego z obecnych. Coś w niej zwróciło moją uwagę, nie to nawet, że mężczyzna patrzył mi prosto w oczy, ale jakiś wysilony, bolesny grymas. Wydało mi się czemuś, że poznaję tę twarz — wąskie, szeroko rozstawione oczy, nerwowe udu-

chowienie, skóra o niezdrowym, żółtawym odcieniu. Któż to może być? Zawsze chwałę się zdolnością do zapamiętywania twarzy. A tu w żaden sposób nie mogę sobie przypomnieć. Jedno jest niewątpliwe — chodzi o jakąś dawną znajomość. Ano, zaraz się przekonamy. Wstałem, strzepnąłem okruchy z marynarki. Również wstał wpatrujący się we mnie człowiek. Z uśmiechem poszedłem mu na spotkanie. Ale nieznajomy podał ramię siedzącej obok kobiecie i oboje ruszyli w kierunku palarni. Już w drzwiach odwrócił głowę i znowu uporczywie, jakby chciał mnie powstrzymać spojrzeniem, popatrzył prosto w oczy, wyraźnie mówiąc: „Tak, to nie przypadek, umyślnie odchodzę, żeby uniknąć spotkania i rozmowy. Tak, znamy się, poznałem ciebie, ale lepiej nie zbliżaj się do mnie”. Mężczyzna odwrócił się, puścił przodem towarzyszkę i wyszedł.

Stałem prawie na samym środku foyer, prawem inercji zachowując uśmiech. Potem wzruszyłem ramionami i wróciłem na dawne miejsce. Diabli nadali! Wrażenie było takie, jakby mnie ktoś bez najmniejszego powodu zwymyślał. Ten człowiek zachowywał się tak, jak gdybym był jego wrogiem. A przecież nigdy nie miałem wrogów. Nigdy nikomu nie wyrządziłem nic złego. Nawet kobiety, z którymi rozstawałem się, nigdy o nic mnie nie oskarżały, chociaż martwiły się. A ten... No, dobrze, pał go diabli! A może w ogóle wszystko mi się przywidziało?

Po skończonym seansie znowu zobaczyłem tych dwoje w tłumie, schodzącym po schodach. Kobieta — bardzo piękna, z wyniosłą twarzą i długim, wbrew panującej modzie, warkoczem — mówiła bez cienia uśmiechu:

— Film jest tak nędzny, że aż staje się doskonały. Jakaś zupełnie prymitywna bzdura, idiotyzm bez najmniejszej skazy, bez żadnego odstępstwa — doskonałość w swoim rodzaju... Doprawdy, już dawno nie wychodziłam z kina z taką satysfakcją...

Jej towarzysz wymruczał coś niezrozumiałego, zatrzymał się, zapalił papierosa; tłum popchnął mnie w ich pobliże, znowu popatrzyliśmy na siebie i moje spojrzenie, zapewne zdumione i pytające, zderzyło się ze zmrużonymi, odpychającymi oczami nieznajomego. Czy też właśnie znajomego? A niechże go wszyscy diabli!...

...Ucichł grzmot elektrycznej kolejki. Szliśmy ze splecionymi palcami, mocno do siebie przytuleni. Chociaż mogłem oglądać tylko jej nos, część policzka i brzegi na wpół otwar-

tych ust, widziałem ją całą — o długich nogach, szybko i strzelistą, jak oszczep, wysoko wzbijający się po wyrzucie.

— Puść — powiedziała. — Przecież tak nie można. Dokoła ludzie.

— To ci się przywiduje — odpowiedziałem. — Tu nikogo nie ma.

— Jakto nikogo? A ten grubas, także mi się przywidział?

— Zaraz sprawdzimy. Przepraszam, obywatelu, czy jesteście fikcją?

— Że co? — zapytał grubas.

— Witek, tyś zwariował!

— Przepraszam, pomyliłem się, myślałem, że znajomy.

Jakaś rampa, piwiarnia, piekarnia. Jedna willa, druga, sklep, znowu willa, fryzjerna, willa. Przelatują z boku. Pod stopami piasek — twardy, ubity, przemieszany ze żwirem i żużlem. Jak sprawnie idą nogi, z jaką lekkością niosą nasze ciała, jaka bliskość naszych policzków, Jakież splot siły i tklivości, jakie rude sosny słońce pozatykało w ziemię, jak sucho i świetliście w lesie! Niechże wypełnią się dłonie! Stwórcu, ty istniejesz, przecież takie szczęście nie może przyjść z nicości! Przecież bez istnienia czegoś, co jest dobrem, wolą i rozumem, nie powstałyby te ramiona, kolana, piersi, porywające mnie wirem uniesienia!

— Nie, bardzo cię proszę — powiedziała Irina.

II

Poranne morze było jak niedokładnie wyprane i niewyprasowane prześcieradło. Motorówka szła w kierunku wschodnim, ku słońcu, które jeszcze nie wstało. Motor huczał, pasażerowie krzyczeli, jakieś dzieci klaskały w dłonie, ale wszystko odbywało się bezdźwięcznie. Krzyknąłem, bo chciałem usłyszeć własny głos. Nikt nie odwrócił się, a i ja nie usłyszałem sam siebie. Zacząłem zaglądać w twarze towarzyszom podróży, ale ci nie dostrzegali moich spojrzeń, ani tego, że nie słysząc głosów. „Dokądże dopłyniemy — pomyślałem — jeżeli nie słyszymy jeden drugiego? Trzeba porozumiewać się gestami. Potrzebne jest abecadło głuchoniemych”. Zacząłem przytykać palce do nosa i podbródka,

mrużyć oczy i poruszać dolną wargą, ale nikt mnie nie rozumiał, chociaż chodziło o najzwyczajniejsze zdanie: „Towarzysze, dlaczego nic nie słyszać?”. Zrozpaczony, machnąłem ręką i zacząłem patrzeć na łagodną i potężną muskulaturę wody za rufą. Motorówka pędziła coraz szybciej, ludzie mówili coraz namiętniej i głośniej — to było widać po ich twarzach — fale przestały być podobne do zapaśników i zamieniły się w bokserów, skrawek słońca ukazał się nad horyzontem. „Zaraz rozbijemy się — pomyślałem — rozbijemy się, jeżeli nie usłyszymy siebie nawzajem”. „Rozbijemy się!” — krzyknąłem, przewyciężając głuchotę własną i innych. Błona w uszach rozerwała się dźwięcznie, usłyszałem swój krzyk i wszyscy usłyszeli, ale było już za późno: bokser zwał się z motorówką, uderzył ją w splot słoneczny, zgięła się wpół, potem dwa sierpy z prawej i z lewej, wszystko rozsypało się i, idąc pod wodę, zobaczyłem purpurową kulę słońca, staczającą się ku falom.

Jakież to szczęście budzić się po strasznym śnie, po śmierci i zgubie! Powolne zmartwychwstanie, rozplywająca się mgła niebytu, życie, które znów napłynęło ku ciału. Zaledwie przed sekundą czułeś, że zamieniasz się w nicość, ogarnęła cię ostatnia, najgorsza męczarnia — przerażenie śmierci nieprzygotowanego do niej, wiedziałeś, żeś umarł, ale oto jesteś uratowany. Zatrzymujemy przy sobie szczęście przebudzenia i z pośpiechem zapominamy o śmiertelnej udręce, zapominamy, że nas ostrzeżono...

Wziąłem papierosa, spojrzałem na zegarek. Oho, to już ósma wieczorem! Podczas dzisiejszej pracy byłem ciągle zaspany, a po powrocie do domu położyłem się na chwilkę — i spałem dwie godziny. Nic dziwnego, przecież wróciłem o świtanie.

Zeskoczyłem z tapczanu, włączyłem elektryczną maszynkę do golenia. Zwykłem golić się wieczorem. Nigdy zawczasu nie przewidzisz, jak potoczą się sprawy. Zdarzyło się kiedyś, że byłem w pewnym towarzystwie nieogolony, a tam była taka jedna Tonieczka, odprowadziłem ją, wstąpiłem i już u niej zostałem, i cały czas czułem się nieogolony i to bardzo mi przeszkadzało. Co prawda, Tonieczka mówiła, że ją dziwnie pociąga, jeśli mężczyzna ma zarost, ale i tak było mi nieswojo. A poza tym nie wszystkie kobiety rozumują tak jak Tonieczka...

Spotkałem się z Miszką Łurje przy stacji metra „Pałac Związku Sowieckiego”. To była godzina schadzek i parki kręciły się jak zazwyczaj przy płocie otaczającym pusty

plac. Ciekawe, czy kiedykolwiek zabudują go, czy też te dziury i pagóry pozostaną na zawsze pomnikiem wysadzzonej w powietrze świątyni Chrystusa Zbawiciela? Ileż to już lat sterczy tu płot, oklejony plakatami?

— Miszka, kiedy zburzono cerkiew?

— Jaką cerkiew?

Miszka opowiadał ostatnie plotki z filmowego festiwalu — o tym, w jaki sposób, ku wielkiemu zmieszaniu i konfuzji, przyznano pierwszą nagrodę Felliniemu. „Osiem i pół” — Miszka powtarzał, jakby bił w bęben. — Popłoch, skandal! Nikt niczego nie rozumie”. Miszka był wyraźnie niezadowolony, że mu przerwał.

— No, jakże zburzyli cerkiew w 1934-ym. Posłuchaj co było później...

Przed dwudziestoma dziewięcioma laty wysadzili świątynię dynamitem. Wbrew porzekadłu, święte miejsce opustoszało. Naturalnie, nie ma dwóch zdań, z cerkwi tyle pożytku, co kot napłakał, po prostu zabytki architektury, nic więcej, ale jednak... Wysadzili w powietrze Boga, a fala eksplozji raniła, kontuzjowała człowieka. Głuchota, niemota... Spod bandaży, spod artykułów o humanizmie płynie ropa. Co prawda, lekarze powiadają: „Jeśli ropa płynie, to znaczy że rana oczyszcza się”. Ano, zobaczymy. A zresztą po co mi zaprzętać głowę takimi myślami? Więcej niż mają inni — nie potrzebuję. W stosunku do ludzi jestem w porządku. Mam pracę, nie nadzwyczajną, ale całkiem znośną, mam mieszkanie, zdrowie, pieniądze... No, z pieniędzmi to raczej kiepskawo. Kręcisz się na wszystkie strony i w żaden sposób pensja nie wystarcza. Zwłaszcza w ciągu ostatnich dwóch lat...

— Stop, jesteśmy na miejscu!

Podeszliśmy do nowego domu. Obok stały zabawne chałupki z drewnianymi kolumnami, parterowe wille o rzeźbionych okiennicach, świeżo pomalowane płoty, nawet był jakiś opasły słupek z lanego żelaza.

— Miszka, a co to za słupek?

— Ten? W dawnych czasach konie przy nim uwiązywali.

Wszystko ten drań wie. Zresztą, któżby miał wiedzieć jeśli nie on — od tego przecież historyk sztuki. Poklepałem dłonią po rozgrzanym metalu i poszedłem za Miską.

W domu u Riażencewych byłem nie po raz pierwszy, dobrze znałem gospodynię i wielu z zaproszonych. Rzadko kiedy zbierano się tu wyłącznie dla popicia i pogadania;



prawie zawsze był jakiś „bohater wieczoru”. Mnie także wypadło kiedyś — po powrocie z podróży do Polski — przyjąć na siebie taką rolę. Wtedy „zapraszano na mnie”. A dziś proszono na Brynskiego. Miał czytać wiersze. Ciekawe, co to za wiersze. To, że go nie drukują, jeszcze, rzecz prosta, nie decyduje. Mimo wszystko, wiersze mogą okazać się bezwartościowe.

— Jednak były interesujące. A i sam Brynski zachowywał się bardzo dobrze, nie szukał pochwał i nie zadzierał nosa. Chętnie przerwał recytację, gdy Miszka Łurje chwycił za kolejny kieliszek i zawołał:

— Chłopcy! Dość już pięknej literatury. Może byśmy tak zaśpiewali?

I wziął gitarę do rąk.

— Miszka! „Cyganki”!

— Miszeńka, „Matroszkę”!

— Miszka, „Butelkę w morzu”!

— Zaśpiewam o cygankach — powiedział Miszka, podkręcając kołki gitary.

*Myśli z domem, z dawnym życiem już rozstają się,
biedne serce chce uciekać stąd bez zwłoki,
gdy cyganki przed oczami rozhuśtają się
na obcasach wykrzywionych i wysokich.*

Miszka śpiewał, patrząc z przekonaniem w kąt pokoju i wszystkim wydało się, że rzeczywiście stamtąd wyszły cyganki i płyną po wyfroterowanej podłodze, zaczepiając szelestem krochmalonych falban o półki z książkami.

*Skądże ptaki, smagłe ptaki, nadleciałyście,
z jakiej dali, jaki wiatr was do nas przywiał?
Od jak dawna w swoich wozach przyjechałyście,
by nad wami bruk moskiewski się wydziwiał?*

Ten i ów usiłował przyłączyć się do pieśni, ale Miszka niecierpliwie zakiwał głową — „że, niby, proszę nie przeskadzać!”.

*Cyganichy w barwnych kieckach powiadają mi:
— Ku wolności wędrujemy w świat ogromny.
Jeśli pragniesz, bądź nam bratem, wędruj z nami,
lecz o całej swej przeszłości masz zapomnieć!*

Ach, zapomnieć o przeszłości, o wszystkim, co było i nie było, uciec, pójść śladem wędrownego wozu, za dziećmi natury, przy wtórze muzyki Czajkowskiego, rytmów Puszkina, szlochającego głosu Leszczenki! Ach, marzenie, sercu jakże miłe! Jakże chętnie urwałby się stąd rosyjski inteligent i poszedłby drogą, wzniciając kurz butkami z lakieru, układającymi się w harmonijkę! Ach, Stiosze, Grusze i Parasze! Pamiętaj, że masz wpłacić prenumeratę za Erenburga, a za trzy dni trzeba wykupić lodówkę — znowu poszukiwanie pożytki... Ech, różnicie struny, rozpalcie serce!

*Odpowiadam cyganichom: „Jakże pragnąłbym
ku wolności waszej szczerym rwać się sercem.
Lecz nie zdołam, nie podołam, choć tak chciałbym —
skrępowali, widać, mocno — nie rozerwę”.*

Miszka niemal płakał do wtóru gitary. Wszyscy uśmiechali się jakoś niepewnie i wstydliwie. Rzeczywiście, dobrze by to było — ale jak? Dokoła te proforgi, partorgi, mostorgi — ech, dola!

*Ciągle dzwonią, dźwięczą, nęcą i skłębiają się
słowa mroczne, jak porwane wzwyż obłoki,
idą, płyną cyganichy i huśtają się
na obcasach wykrzywionych i wysokich.*

Miszka urwał na ostatnim akordzie, jakby zdmuchnął świecę.

— Doskonale! — powiedział Brynskij. — To wszystko waszego układu, i muzyka i tekst?

— Własnego — odburknął niezadowolony Miszka; nie wiadomo dlaczego, wstydził się swego autorstwa i śpiewał tylko wtedy, gdy już był podpity.

— Bardzo prosimy o jeszcze — zaszczębiotały kobiety. — Misza, prosimy o „Matrioszkę”!

Była piosenka o Matrioszce. Siedem rosyjskich piękności z drzewa, powkładane jedno w drugie. Każda była innego koloru, każda wabiła i uśmiechała się ponętnie: „A widzisz, a nie rozumiesz mnie! Spróbuj-no zajrzeć do duszy!”.

*Jestem tu i tam, jestem tu i tam,
no, to kochaj mnie i uściskaj!
Lecz pokochaj tę, co tkwi wewnątrz,
popatrz we mnie, przyjrzyj się z bliska!*

Miszka nie zdążył zacząć drugiej zwrotki, gdy rozległ się dzwonek u drzwi. Przybyli nowi goście, troje ich było, a gdy weszli do pokoju, poznałem wśród nich parę, spotkaną wczoraj w kinie.

— Proszę — zapoznajcie się ze sobą — powiedziała gospodyni — nasi przyjaciele, Asia i Feliks Czernowie, bardzo przyjemne osoby...

Feliks Czernow! Natychmiast w pamięci stanęło jezioro Seliger, namioty na brzegu, plusk wody pod wiosłami, wesoły zgiełk z rana i żołnierskie pieśni z frontu nad wieczorem — wówczas jeszcze chętnie te pieśni śpiewano. Przypomniałem sobie również Feliksa Czernowa, wesołego studenta zoologii, o wąskich oczach, gorszącego głupiotkie dziewczęta z pierwszego roku opowiadaniemi o poligamii wśród zwierząt. Dowcipniś, aktor, improwizator — szalenie mi się wtedy spodobał. I nie tylko mnie — w ciągu tych dwóch tygodni spędzonych na Seligerze był głównym bohaterem dla wszystkich. Później, już w Moskwie, kilkakrotnie spotykaliśmy się w tym samym towarzystwie. A jeszcze później wyjechałem służbowo, kilka lat spędziłem poza Moskwą i pozapominałem nazwiska i adresy ówczesnych przyjaciół...

Trzeciego gościa, który przyszedł razem z Czernowymi, dobrze znałem, to był Włodzimierz Siemionowicz Igołnikow, pisarz, prozaik. Trudno powiedzieć żebyśmy byli w przyjaźni, ale istniała między nami wzajemna sympatia; miałem nawet tom jego opowiadań z dedykacją.

Cała trójka zatrzymała się na chwilę przy drzwiach; potem Czernow zrobił ruch, jakby chciał podejść do każdego i podać rękę, i właśnie wtedy zobaczył mnie. Złożył ogólny ukłon i usiadł na wolnym krześle. Również usiadła żona Feliksa i Igołnikow.

— Zdaje się, że przerwaliśmy wam śpiewy — powiedział Igołnikow. — Misza, proszę się nie gniewać i kontynuować.

— Ja i tak zgubiłem melodię — powiedział Miszka niezbyt grzecznym tonem. — Lepiej zrobmy przerwę i rąbnijmy po kielichu z nowymi gośćmi.

Wszyscy zgodnie wypili; Igołnikow powiedział ze smutkiem:

— Taki już mój gorzki los. Wystarczy, żebym zjawił się gdziekolwiek, a natychmiast urywają się intelektualne rozmowy, zaś wszystko, co potrąca o sztukę i naukę, rozbiega się jak tłum karałuchów...

— A przecież to zdrowo! — powiedziałem. — Włodziu, szczęśliwy z was człowiek. I zebrani też są zadowoleni! Czy to łatwo prowadzić intelektualną rozmowę?

— Witek, wy jesteście artystą, zaś artyście intelekt nie jest potrzebny, ba, nawet szkodzi. Ale ja jestem inżynierem ludzkich dusz, mam z urzędu te dusze łowić, badać i następnie, korzystając z nagromadzonego materiału, przepalać serca żarem słów. A jakże mam tę duszę złapać, jeżeli dokoła tylko słyszysz: „Ano, rąbnijmy po kielichu!”, „A teraz pod drugą nóżkę”, „No to cyk, powtórzmy!”.

— Włodzimierz Siemionowicz, przecież taką duszę, co już rąbnęła parę kielichów, łatwiej złowić!

— Owszem, ale samemu trzeba być trzeźwym, a przecież ja... No, co tam gadać — wszystko jasne.

— Za dużo macie przyjaciół.

— Przyjaciele — cała Moskwa. Rozmiary tej klęski okażą się po mojej śmierci. „Gazeta Literacka” zamieści zawiadomienie o śmierci członka Litfondu, W.S. Igolnikowa, i zdarzy się dokładnie to samo, co na pogrzebie wielkiego wodza i nauczyciela. Przy czym tratować się nawzajem będą dobrzy znajomi. Ach, jaka szkoda, że tego nie zobaczę!

— Nie przesadzajcie, Włodzimierz Siemionowicz!

— A cóż wy, Misza, tak mnie ojcowskim imieniem tytułujecie? Nie zwracajcie uwagi na moją tuszę — jestem jeszcze młody. Wiecie, jak kogo tytułują ojcowskim imieniem, to już z tego wynikają odpowiednie obowiązki. A mieć obowiązki to znowu w naszych czasach rzecz frasująca, a nawet dość niebezpieczna. Wszyscy to może nawet nie tyle rozumieją, co czują przez skórę. Dlatego też coraz mniej u nas używa się ojcowskiego imienia. Zajrzyjcie chociażby do Turgieniewa, albo do Dostojewskiego: byle szczeniak wczorajszy sztubak, już nazywa się Arkadiusz Makarowicz, zaś siedemnastoletnia panienka — Zinaida Borysowna, czy Piotrówna, a według wszelkich przepisów należałoby na nią wołać — Zinoczka. My tu wszyscy już mamy koło czterdziestki, i tylko mnie jednego nazywacie Siemionowiczem. Widocznie, z powodu grubego kałduna...

Igolnikow długo jeszcze gawędził w takim samym sensie. Ale że wszystko się kończy, wreszcie wygramoliliśmy się z za stołu i rozbiliśmy się na małe grupki po kątach, na tapczanach, po innych pokojach.

Wybrałem chwilę, gdy Czernow był sam, i poszedłem do niego.

— Wiecie, w żaden sposób nie mogę zorientować się, czyście mnie poznali, czy nie. Przecież poznaliśmy się ze sobą bodaj że... jeśli pamięć nie zawodzi...

— Jakże bym miał was nie poznać! — uśmiechnął się Czernow. — Mieliśmy ze sobą do czynienia w 1951-ym roku, od sierpnia do października.

— I tak od razu przypomniałście sobie daty?

— Nie potrzeba było przypominać. Zawsze pamiętam. W październiku 1951 zostałem aresztowany.

— To taka sprawa! A ja nawet nie wiedziałem.

— A tak? — powiedział Czernow. — Przecież mieliśmy licznych wspólnych znajomych...

— Rzec w tym, że właśnie wtedy przeniesiono mnie służbowo i wyjechałem z Moskwy do Woroneża. Wykładałem tam w szkole sztuk pięknych...

— Widzę, że już zdążyliście się zaprzyjaźnić — Nina, gospodyni domu, podeszła do nas.

— O, to jesteśmy starymi przyjaciółmi — znowu uśmiechnął się Feliks.

— No, to świetnie, no, doskonale! Ale uwaga, nie wolno tak odseparowywać się. Chodźmy, chodźmy, Misza znowu będzie śpiewać.

Ale w sąsiednim pokoju nie było śpiewów. Tam wodził rej Igolnikow. Stał jak posąg, z rozstawionymi nogami i rękami w kieszeniach, i rozwalał autorytety. Boże, kto tylko tam nie dostał za swoje! Niszczył uczonych za to, że pchają się do polityki, pisarzy za to, że się do polityki nie pchają, niszczył dygnitarzy państwowych, filmowców, cybernetyków, rzeźbiarzy...

— Jak ślepcy! — hałasował Igolnikow. — Jak ślepcy, wałęsają się na stronę. Czyż warto pisać o tym, co ludzie robią, czy warto na ten temat rysować albo rzeźbić?! Nie, o tym trzeba mówić co ludzie robić powinni. O tym, co mogli zrobić, a czego nie zrobili! O poczuciu winy za bezczynność. Utrzymuję — powiedział powoli z naciskiem — utrzymuję, że nie ma obecnie żadnego inteligenta, w którym by nie tkwiło to uczucie — świadomość winy. Winy z powodu tego, czego nie uczyniono!

— Nie rozumiem — powiedziałem do Igolnikowa. — A jeżeli ktoś — no, powiedzmy, ja sam — nie ponosi żadnej winy? Dlaczego mam się dreć?

— Witeczku, doprawdy nic nie rozumiecie. Po pierwsze, kategorycznie oświadczam, że każdy człowiek co najmniej raz w życiu wyrządził komuś krzywdę: i wy, i on,

i ja — wszyscy! Po drugie — i to jest najważniejsze — zawiniliście tym, czegoście nie zrobili. Czyżby nigdy was nie prześladowały widma rzeczy niezrealizowanych? Czy nie przywidują się wam po nocach embriony czynów, ofiary poronień, inicjatywy, na których dokonaliście sztucznego spędzenia płodu?

— A fe! — powiedziała Nina.

— Ninoczka, proszę nie fukać! Nie zamierzam mówić o tym, co mógłbym dokonać, coś naprawdę ważnego, bardzo ważnego dla wielu osób. Zresztą, nie warto — to by brzmiało zbyt patetycznie. Ale weźmy różne na pozór drobiazgi: nie mogę sobie wybaczyć, że swego czasu nie napisałem, albo nie poszedłem do takich ludzi, jak Pasternak, czy Zoszczenko. Tak, tak jesteście snoby, więc was szokuje to zestawienie. Rzecz nie w tym. Już nigdy, rozumiecie, już nigdy nie będę mógł im powiedzieć, jak bardzo jestem im wdzięczny, jak bardzo szczęśliwy, że żyłem współcześnie, obok nich. Albo inna sprawa: kiedy aresztowano rodziców mego przyjaciela, nie zdobyłem się na napisanie do niego ani jednego listu. Nie z tchórzostwa, nie! Po prostu nie lubię pisać listów, nie lubię epistolarnego rodzaju. Zachowałem się jak bydlę, nie zrobiłem wyjątku dla mego przyjaciela. A przecież wtedy mój list miałby większe znaczenie, niż całe nasze późniejsze współżycie... Ach, czyż mało było takich spraw?

— Włodzimierzu Siemionowiczu, a jakże to, co mówicie, wygląda w zestawieniu z waszym pisarstwem? Zgadza się?

— Jakże ma się zgadzać? Wcale nie zgadza się! Kiego diabła miałoby zgadzać się! Szanowne panie zechcą wybaczyć. W tym to i rzecz, że w mojej pracy — rozumie się, w tej pracy, za którą mi płacą honoraria — w tej więc pracy przestrzegam jednej zasady. Nie, braciszku, nie sprzedawałem się, ja poddałem się. Co prawda, nie wiem, co gorsze...

— Jakaż to zasada? — zapytał Feliks.

— Że co? Ach, tak, zasada. „Nie szkodzić nikomu”. To jest lekarskie przykazanie — „nie szkodzić nikomu”. Dobre przykazanie, wspańskie przykazanie, przykazanie rzymskich lekarzy; ale, mili moi, od rzymskich czasów medycyna zrobiła postępy, co? Chirurgia, roentgen, antybiotyki! Mamusi moja kochana! A ja, literat, wracam do czasów Cyncynata, świętego Augustyna, Marka Aureliusza i, diabeł wie, kogo jeszcze! I to kiedy? W naszych czasach! W naszych

nadzwyczajnych czasach! W naszych smrodliwych czasach! A co, erudyci, tego nie znacie?

— „W naszych smrodliwych czasach nie ma dokąd schronić się przed ojczyzną polityką, przed jej grymasami i wrzodami”. To Leskow tak pisał, kochasie, Leskow!

Igolnikow był już nieco pijany. Feliks Czernow wziął go pod rękę.

— Włodzimierzu Siemionowiczu, dość już. Wszystko to marność nad marnościami i udręczenie ducha. I w ogóle... nie na miejscu, nie potrzebne.

— Kochany Feliksie! Dlaczego mi przeszkadzasz! Przecież ty jesteś żołnierzem, powinieneś zrozumieć!

— Jaki tam żołnierz! Nigdy w wojsku nie byłem.

— Wszystko jedno, siedziałeś w łagrze, a żołnierz i katorżnik zawsze się rozumieją... No, już, zaśpiewamy łagiernicze pieśni!

Śpiewaliśmy pieśni łagierników. Wykańczaliśmy wódkę. Brynskij znowu recytował wiersze.

*Słowa, jak kule, w serce bezbronne
biją seriami coraz to ostrzej.
Któż się użali nad udręczonym?
Przechodniu, ty mnie przynajmniej oszczędź!*

...Gdyśmy wyszli na ulicę, Feliks złapał taksówkę i zaczął pakować do niej Igolnikowa. Wziąłem go za łokieć i powiedziałem:

— Feliks, chcecie byśmy się spotkali w najbliższym czasie? Pogadamy, przypomnimy stare czasy. Tu macie numer mego telefonu — wyrwałem kartkę z notesu. — Proszę, zadzwońcie do mnie, na przykład w najbliższy czwartek, tak po szóstej popołudniu.

Feliks wziął kartkę i powiedział niezmiernie powoli:

— Wiktor Wolskij, panujecie nad sobą w nadzwyczajny sposób. Doprawdy, tylko pozazdrościć. Dobrze, zatelefonuję.

III

Oglądam swoją przeszłość przez barwne szkielka przeżytych lat. I zawsze widzę ją w wesołych barwach: w zie-

lonej, niebieskiej, różowej. Muszę zdobyć się na wysiłek, aby odtworzyć autentyczny koloryt wypadków i wrażeń, ludzi i okoliczności. Ale nawet gdy mi się to udaje, nie jestem w stanie odtworzyć mego stosunku do tamtych wydarzeń. Pamiętam demonstrację gdzieś koło Srietienskiej Bramy, radosną demonstrację z powodu wyroku śmierci na bohaterów procesu 37-go czy też 38-go roku. Ludzie szli z hasłami i portretami Jeżowa, od Kołchoźniczego Placu ku Łubiance. *A propos*, jak to dziwnie wszystko się pozmieniało: Łubianka nazywała się już wtedy placem Dzierżyńskiego, natomiast plac Kołchoźniczy, zdaje się jeszcze nie otrzymał nowej nazwy, a jednak w żaden sposób nie mogę sobie przypomnieć dawnej. „Łubianka” — o tak, tego słowa zapomnieć nie można. No, więc obejrzałem tę demonstrację, przyszedłem do domu i zacytowałem (byłem chłopcem czytany): „Powiedzcie, proszę czyż wypada tak kpić i śmiać się z ofiar kata?”. W rodziców jakby piorun strzelił... A przecież nic specjalnego nie miałem na myśli, po prostu wydało mi się, że cytat jest odpowiedni. Jaki był koloryt tej demonstracji? Na pewno czarny, ale w moim wspomnieniu utrwaliła się barwa jaskrawo żółta — był słoneczny dzień. Uporczywie i wielokrotnie odtwarzałem sobie szary, jesienny dzionek, pochylone krzyże wiejskiego cmentarza i siebie samego, po raz pierwszy w życiu biorącego kobietę — miałem wtedy szesnaście lat. Ale czas, litościwy czas zazielenił trawę i delikatnym rumieńcem pokrył policzki rozpustnej, dwudziestoczteroletniej kobietki. Tak, czas to wielki kolorysta! Wszystko przeinacza, wszystko przerabia!

Wtedy, na Seligerze, przeważała siność, zieleń i barwa pomarańczowa. A jednak po spotkaniu z Czernowym na wspomnienie legł jakiś dziwny, czarnopurpurowy tuman, napawający smutkiem i budzący trwogę. Skąd to zagadkowe zdanie o moim panowaniu nad sobą? Dlaczego Czernow zachowuje się tak dziwacznie?

W czwartek zdałem sobie nagle sprawę, że wyczekuję z niecierpliwością, kiedy wreszcie wskazówki zegarka dojdą do szóstej. Ostatecznie, co to za obyczaje? Jeśli mu jestem niemiły, jeśli nie chce mnie widywać, to niech powie otwarcie. Ale te, nie wiadomo co oznaczające grymasy! Po kiego diabła to potrzebne...

Feliks zatelefonował o pół do siódmej. Kiedy go zaprosiłem, odmówił. Również do siebie nie prosił, tylko powiedział, że może się ze mną spotkać za godzinę, na Arbatskim placu, koło pomnika Gogola.

Przy cokole hałasowały dzieci. Rozejrzałem się. Feliksa jeszcze nie było. Zapaliłem papierosa i, nie spiesząc się, obszedłem pomnik. Zatrzymałem się, żeby odczytać napis wyryty na cokole, i nagle usłyszałem zza kamiennej figury kobiecy głos, który mówił:

— Felka, ty jednak bądź z nim ostrożny...

— Nie obawiaj się — odpowiedział głos Feliksa Czernowa i w tejże chwili wyszedł mi na spotkanie razem z żoną. „Z nim” — niewątpliwie dotyczyło mojej osoby, ale żadne z nich nie ujawniło zakłopotania, przeciwnie, wpatrywali się we mnie tak, jak gdybym właśnie ja powinien być zakłopotany.

— Dzień dobry — pozdrowiłem parę.

— Cześć — odezwał się Feliks. — Asia, zostaw nas samych. To nie potrwa długo.

Czernowa poszła. Ani się ze mną przywitała, ani pożegnała. Patrzyliśmy za nią. To bardzo piękna kobieta i, chociaż już od dawna nie malowałem portretów, pomyślałem, że dobrze byłoby poprosić ją o pozowanie.

— No, gdzie się ulokujemy? — powiedział Feliks.

Patrzyłem na niego w milczeniu.

— Wiecie, myślałem nad tym i doszedłem do wniosku, że istotnie powinniśmy rozmówić się. I to właśnie w cztery oczy. To zresztą dla waszego dobra.

— Zachowujecie się — powiedziałem — jak dyplomata, który zamierza zgłosić ultimatum.

— Właśnie o to chodzi — powiedział Feliks poważnie.

Siedliśmy na pustej ławeczce. Niedaleko od nas gruba dziewczynka w kombinezonie lepiła jakąś budowę z piasku. „Niur-r-ra, popatrz-no, com zrrro-biła!” — krzyczała dziewczynka, szarpiąc niańkę za rękaw i ostro wymawiając literę „r”. Przez dłuższą chwilę przyglądaliśmy się dziewczynce. Piasek osypywał się z jej budowy. Feliks potarł czoło i zaczął mówić.

— Już wam mówiłem, że aresztowano mnie w październiku 1951-go roku, wkrótce po tym, jakieś się poznali. Ten zbieg okoliczności jako taki nie ma żadnego znaczenia. Zgodnie z nauką logiki, coś co się stało po jakimś wydarzeniu, nie musiało stać się w jego konsekwencji. Ale rzecz w tym, że w czasie śledztwa oskarżono mnie o złośliwą, antysowiecką agitację i zacytowano mi szereg moich wypowiedzi. Wiktor, tylko wy i wyłącznie wy mogliście dostarczyć tak dokładnej informacji. Zaraz, zaraz, tylko nie przerywajcie.

Przecież jesteście człowiekiem opanowanym. Wszystko wam wyjaśnię. Pokazano mi niemal dosłowny tekst moich opinii o logice wypowiedzi i artykułów Stalina, o sposobach jego argumentacji. Na pewno pamiętacie: „To nie istnieje, ponieważ w żadnym wypadku istnieć nie może” — i tak dalej i tak dalej, w tym samym sensie. Wiadomo, czym to groziło. Pamiętam wieczór, kiedyśmy na ten temat rozmawiali, kiedy rozgadałem się, cytowałem podręcznik logiki Asmusa i popisywałem się łaciną. Nawet pamiętam i to, co wyście, Wiktor, mówili wtedy o wyglądzie Stalina: że ma niskie czoło i krótkie nogi, że jedyny podobny do niego portret to rysunek Andriejewa w Muzeum Tretjakowskich, który pokazuje, że ma twarz całą w dziobach i mętne oczy. Mógłbym to wszystko opowiedzieć śledczemu, a wtedy was także szurnęliby do łagru, takich rzeczy nawet szpiclom nie puszczali płazem. No, znowu rzucacie się! Pomęczcie się troszeczkę, ja więcej się męczyłem. Nie wpakowałem was nie dla tego, że pożałowałem, wówczas czułem do was tylko nienawiść... Po prostu — czułem obrzydzenie, wydawało mi się wstętne mścić się przy pomocy emgebistów. Więc tamtego wieczoru, oprócz was i mnie, było jeszcze trzy osoby. Jednego z nich aresztowano zaraz potem i przesiedział wszystkie następne lata. Drugi — był moim przyjacielem z dzieciństwa, ten jest poza wszelkim podejrzeniem, a zresztą już nie żyje. Trzecia osoba, obecna przy rozmowie, to była panna — może ją pamiętacie? — To była moja panna, moja ukochana, moja żona. Żyłem z nią, rozumiecie? Spałem z nią, rozumiecie? Kochaliśmy się nawzajem. Wiktor, zrozumieliście? Nie jesteście w stanie ani teraz, ani kiedykolwiek w przyszłości wypierać się i usprawiedliwiać. Tak! Jesteście jedynym człowiekiem, któremu mógłbym opowiedzieć wszystko, co przeżyłem, abyście zrozumieli i poculi choćby w drobnym stopniu, coście zrobili. Czy rozumiecie, że nie macie nic na wasze usprawiedliwienie? Jeżeli was oplątali, zastraszyli, trzeba było popełnić samobójstwo, odejść dobrowolnie, ale nie stawać się... tym, kim staliście się. Wiktor, jesteście sprzedawczykiem. Ileż razy obmyślałem to wszystko! Tam, w łagrze, postanowiłem, że was zabiję. Zabiję — za moje splugawione życie, za to, żeśmy jedli zgniłą rybę, za to, że spaliliśmy z mokrymi nogami, za to, że śledczy pluł na mnie, a ja nie miałem prawa zetrzeć jego śliny z twarzy, za to, że Luda wyszła za drugiego, za niekochanego, płacząc, bo ją pędzili z każdej pracy, bo musiała wychować dzieciaka, moje dziecko, które

urodziło się już po moim aresztowaniu. Dzięki Bogu, trafił się jej przyzwoity człowiek, bardzo przyzwoity, teraz już jest w nim zakochana. Zrozumcie, Wiktor, przecież jesteście rozumnym człowiekiem, jesteście w stanie i musicie to zrozumieć — nie mogę nawet marzyć o tym, żeby skrócić kark reżymowi, ale was mógłbym zabić tymi rękami, przecież jestem dwukrotnie od was silniejszy — ot, choćby teraz, tu na tej ławce, przy pomniku Gogola, mógłbym was bez trudu zadusić... Czemu tak na mnie patrzycie? Co, nie boicie się? To dobrze, że wzdrygacie się, gdy pada słowo „szpicel”, i nie boicie się, gdy mówię, że mógłbym was zabić. To znaczy, że rozumiecie wszystko i uczynicie tak, jak ja chcę. Rozmyślałem się i nie chcę waszej śmierci. Wiecie, Wiktor, od tamtych czasów bardzo zmieniłem się. Myśl o zabójstwie budzi we mnie wstręt. Już nie mówiąc o tym, że mam rodzinę, przyjaciół, pracę, podróże, wypełnione morzem i słońcem, i nie chciałbym tego wszystkiego utracić. Nie, nie zabiję was. Ale musicie zniknąć. Nie macie prawa obracać się wśród ludzi, ani mieć przyjaciół, ani spać z przyzwoitymi kobietami, ani ożenić się — słyszycie? Najlepiej byłoby, gdybyście wyjechali gdzieś na koniec świata, na Daleki Wschód, albo do Środkowej Azji, ponieważ zamierzam ułatwić wam takie zniknięcie. Wiktor, uprzedzam was otwarcie: postaram się, żeby wszyscy dowiedzieli się kim jesteście. Szkoda mi was, niemal tak samo, jak było mi szkoda samego siebie, ale nie ma innego wyjścia. Może zapytacie, dlaczego nie spotkałem się z wami wcześniej? Dlaczego wcześniej nie zażądałem od was wyjazdu? Czekalem. Czekalem, aż przyjdziecie do mnie, aby spróbować ze mną porozmawiać, porozumieć się, i słowo honoru, gdybym zauważył, że gryzie was choćby troszeczkę sumienie, że po tym, coście uczynili, źle czujecie się w życiu, to — słowo honoru, byłbym wam przebaczył. Ale nie, Wiktor, wy zachowujecie spokój, składacie wizyty znajomym, pijecie wódkę i, z całą pewnością, macie schadzki z kobietami. A przecież nie macie na to prawa, tak nie macie na to prawa! Jeżeli zachowujecie spokój, zachowujecie zimną krew, to znaczy że jesteście człowiekiem podłym. To znaczy, że nie tylko jesteście marionetką stalinowskiego okresu — przecież od tamtych czasów niejedna „śrubka” zaczęła czuć się nieswojo. Zachowujecie spokój, więc jesteście nikczemnikiem; nie, ja was nie obrażam, po prostu was klasyfikuję — przecież jestem z zawodu zoologiem. O to chodzi, że w was tkwi istota zła i nikczemności. Gdybym był człowiekiem wie-

rzącym, powiedziałbym, że macie w sobie Antychrysta. Szatański element spotykano w ludziach i przed Stalinem i Hitlerem, przed Iwanem Groźnym i Loyolą. Takich ludzi należy unieszkodliwiać, najlepiej — zabijać, ale ja nie jestem w stanie was zabić. Wiktor, nie wiem, czyście mnie zrozumieli... Nie, proszę mi nie odpowiadać, nie chcę odpowiedzi, wszystko wam powiedziałem i uprzedziłem. Więc radzę: wyjedźcie stąd; lepiej próbować leczyć się w samotności, niż czekać, aż inni zaczną was leczyć. Do widzenia, mam nadzieję, że już się więcej nie zobaczymy. Wiktor, doprawdy, budzicie we mnie litość.

Podniósł się, stał chwilę pochylony nade mną, wyciągnął rękę i dłonią dotknął mego ramienia. Potem odwrócił się i poszedł. Patrzyłem jego śladem i, pamiętam dobrze, pomyślałem: „Jemu tylko tak wydaje się, że jest ode mnie dwukrotnie silniejszy. Jak on fatalnie się garbi...”.

Zapaliłem papierosa, który zgaś, i poszedłem do domu. Już koło bramy zatrzymałem się i obejrzałem. Ulica hałasowała, ale ten hałas istniał jakoś oddzielony od mego słuchu. Jakiś głupi mięsień w ramieniu kurczył się sam przez się. Stałem i patrzyłem, jak w oknach przejeżdżających trolejbusów płyną odbicia kamienic, jak jadą rowerzyści, nisko pochyleni nad kierownicami. To jedyni, którym wolno ubierać się ekscentrycznie — w jakieś kobiece czapeczki, swetry niesłychanego kroju i koloru — i żaden członek ochotniczej drużyny takiego rowerzysty nie zaczepi. Dziewczynki bawiły się na chodniku w „klasy”. Warkoczyki podskakiwały na ich plecach.

Ależ na litość Boską, ja nie złożyłem donosu przeciw Feliksowi! Nigdy nie byłem donosicielem!

.....

Siedzieli przy szachownicy, gdzieś nad miastem, a być może, w samym mieście, to nieważne — i tak dokoła było pusto i zimne, niebieskie powietrze oddzielało graczy od reszty świata. Dobro miało na sobie białe ubranie, Zło — czarne, tak jak to jest ustanowione. Grali, kończyli jedną partię i natychmiast zaczynali następną. Dobro grało dynamicznie, z temperamentem, nie obawiając się ryzyka; Zło — bez pośpiechu obmyślało każdy ruch. Ich poziom był mniej więcej jednakowy, ale Dobro zbyt się niecierpliwiło, grało zbyt szybko, chwytalo od razu po parę figur i często prosiło o pozwolenie na cofnięcie ruchu. Zło zawsze zgadzało się, nie zależało mu na pośpiechu. Posuwało naprzód pionki,

umacniało pozycję, rzucało figury do ataku. Lautry Zła biły na skos, gwałtownie jak szpady. Konie skakały fantazyjnie, w jakichś nienaturalnych skrętach. Zabite figury z hukiem zlatywały w nicość. Najczęściej były to figury Dobra, które chętnie szło na ofiary, licząc na szybką wygraną. Zło oszczędzało swoje figury. Szachownica stopniowo pustoszała, dochodziło do końcówki, słychać było „Szach-mat” — i znowu ustawiały się figury i pionki, zaczynała się nowa partia. „Jeszcze jedna, już ostatnia” — mówiło Dobro po kolejnej przegranej. Zło zawsze zgadzało się. Znowu posuwały się naprzód pionki, odbywały się rozszady, przeprowadzano kombinacje, figury osłaniały atakowanego króla... Niemal bezradni królowie, przedstawiciele idei zwycięstwa, które wywalczać musiał kto inny! Kiedy zwyciężało Dobro, wyrażało hałaśliwie radość i żądało następnej partii, by zwiększyć swoją przewagę. Zło zawsze zgadzało się. Partia szła za partią, zimne, niebieskie powietrze, przetykane białymi obłokami, kłębiło się dokoła szachistów, Zło paliło papierosy z filtrem, Dobro ssalo karmelki, i grali, grali bez przerwy, wiedząc, że każdej chwili może odezwać się rozkazujący głos: „Już dosyć! Kończyć grę! Oddajcie szachownicę innym!”, więc też Dobro starało się zwiększyć swoją przewagę, zaś Złu nie zależało na pośpiechu.

IV

Chciałem być sam, a tu jak na złość, cała nasza ferajna postanowiła zjeść obiad na miejscu. Jeden z nich pobiegł po zakupy — kanapki i piwo — a reszta rozsiała się na stołach, opowiadając sobie nawzajem o wakacyjnych przygodach. Wyszedłem z pokoju i udałem się do pracowni, w której wyrabiano wzory i szablony. Tam nikogo nie było, wszyscy poszli na obiad do najbliższej stołówki. Położyłem się na ławce, z czyjaś teczką pod głową. Oparte o ścianę, jeszcze niedokończone, stały reklamowe wzorce. Na każdym była postać eleganckiego mężczyzny, informującego, że do Soczi podróż samolotem trwa trzy i pół godziny. Znałem to zamówienie, sam robiłem do niego szkice. Wzorce prawie wykończone, brakowało tylko czerwonej farby, którą nakładano na samym końcu. Czerwony był tekst, paski na krawacie i usta. Postacie stały obok siebie, bez warg, bez ust,

chciały coś powiedzieć i nie mogły — nie było czym. W oczach kryło się cierpienie, jak w ślepiach psa. Choć wiedziałem z całą pewnością, że prócz idiotycznego zdania o locie do Soczi, nie są w stanie nic mi powiedzieć, wydawało się, iż czytają na ich twarzach niemą prośbę o rozmowę na jakiś ważny temat.

— Macie dla mnie jakąś wiadomość? — zapytałem.

— Jakąś pożyteczną wiadomość?

Mężczyźni zachowywali wieloznaczące milczenie.

— Przecież w waszych łbach kręci się tylko jeden pomysłunek: o trzy i pół godzinny locie.

„Kto wie!” — odpowiedzieli milcząco.

— A jeżeli nawet macie jakieś inne myśli, to na pewno tak samo trywialne, jak i tamta.

„Daj nam dar mówienia — odpowiedzieli — a wtedy przekonasz się”.

— A czy warto? — zapytałem. — Niewiele mi przyjdzie z gadaniny.

„Niewiele — odpowiedzieli — ale to nie szkodzi: ludzie powinni mówić”.

— Przecież wy nie jesteście ludźmi.

Popatrzyli na mnie z wyrzutem. Wstałem, rozejrzałem się. Na oknie leżała szminka do ust. Wziąłem ją, namalowałem na jednym z wzorców wargi i powiedziałem:

— No?!

Pomlaskał wargami, żeby nadać im elastyczność i oświadczył:

— Najważniejsze jest to, iż ty sam dobrze wiesz, żeś niczym nie zawinił.

— Owszem, ja wiem, ale czy przez to jest mi łatwiej?

— A kto powiedział, że zawsze ma być lekko? Przez trzydzieści siedem lat miałeś lekkie życie, dosyć naużywałeś.

— Ale jakże mi teraz obcować z ludźmi?

— Pomęcz się trochę.

— Nie chcę!

— Budzisz we mnie litość — powiedział reklamowy mężczyzna głosem Feliksa Czernowa.

Wziąłem gałganek, starłem mu z twarzy usta i podszedłem do drugiego. Ten zachował się niezmiennie rzeczowo.

— Powinieneś zobaczyć się z Feliksem i rozmówić się z nim poważnie. Musisz znaleźć przekonujące słowa. Przypomnij mu, że lepiej przebaczyć winnemu, niż skazać niewinnego.

— A czyż ty nie słyszałeś, jakim tonem on ze mną rozmawiał? — zapytałem w rozpaczy.

— Wszystko jedno. Ty jesteś człowiek i on też człowiek. Obydwaj jesteście *homo sapiens*. Ludzki rozum...

Uderzyłem go ścierką po twarzy i zmusiłem do milczenia.

Trzeci powiedział:

— Wiktor, musisz się poddać swemu losowi. Będziesz musiał zrobić wszystko tak, jak ci powiedział Czernow.

— Dlaczego? — krzyknąłem.

— Boś zawinił. Sam dobrze o tym wiesz.

— O niczym nie wiem! Nie robiłem żadnych donosów!

— Nie mówię o donosach. Aleś zawinił. Pomyśl tylko, a zrozumiesz. Zawiniłeś tym, że...

W tejże chwili w korytarzu trzasnęły drzwi raz i drugi. Ledwie zdążyłem odebrać wzorcowi mowę, gdy do pracowni wdarła się banda rysowników. „Witek! Wiktor, Wiktor Lwowicz! — podniósł się harmider. — Nasz kochany, niezastąpiony Wiktor Lwowicz!”. — Wszyscy byli znacznie młodszy, ode mnie, studenci i studentki, pacykujący podczas letnich wakacji, ale byłem z nimi za pan brat, razem popijaliśmy, wyjeżdżali za miasto i grali w ping-ponga. Stosunki ułożyły się bardzo swojsko. Co prawda, trzem z nich pokazałem kiedyś moje prace, prosząc, żeby nic nie mówili innym; ale, oczywiście, nie wytrzymali i teraz czułem nieraz na sobie ich pełne szacunku spojrzenia. „Banda” wyraźnie była dumna z tej znajomości ze mną i z poufałego stosunku. Czasem, jak to zwykle młodzi, przesadzali, ale tolerowałem wszystko — oni także mi się spodobali.

Pogadaliśmy trochę o malarstwie abstrakcyjnym i o „opozycyjnych” wierszach, i doszliśmy do wniosku, że dobra sztuka abstrakcyjna to dobrze, a niedobra to źle. Potem powiedziałem im:

— No, chłopcy i dziewczynki, róbcie forszę! — i poszedłem.

Praca szła jak po grudzie. Naprzykrzyły się te diabelskie reklamy. Ospale posuwałem ołówkiem po papierze, szkicowałem, coraz to puszczać w ruch gumę do wycierania. Wszystko to jakiś zły sen. Jakież prawo ma ten Czernow, żeby rozporządzać się moim życiem? Jak wszechwładny Pan Bóg! Zwalił się na mnie, zakomenderował i poszedł. Nie, nie odważy się wykonać swojej groźby. A w ogóle ja sam mogę opowiedzieć o naszej rozmowie. Opowiedzieć

przyjaciołom i znajomym. Irinie też trzeba opowiedzieć. Nie widziałem jej od dnia, w którym pojechaliśmy za miasto. Jej matka zachorowała, więc Irina siedziała w domu, nawet do pracy nie chodziła — przedstawiła świadectwo lekarskie. Skończę tę robotę, to do niej zadzwonię; może już jest wolna. „Sprzedawczyk!”. To niby ja jestem tym sprzedawczykiem! Jak gdybym nie wiedział, co to znaczy wolność. Dzięki Bogu widziałem niemało i nasłuchiwałem się, o mało co sam nie usiadłem. Zresztą armia i więzienie to rodzone siostry. Igołnikow ma rację: żołnierz i katorżnik zawsze jeden drugiego zrozumie. No, to dlaczego nie znalazłeś wspólnego języka z Czernowym? Spróbuj, znajdź wspólny język z kimś, co z góry sprawę przesądza... Mógłbym mu opowiedzieć, kiedy po raz pierwszy zrozumiałem, co oznacza brak wolności, mógłbym opowiedzieć o człowieku, który mi ułatwił to zrozumienie. Zdarzyło się na froncie, na Ukrainie, kiedy zostałem ranny i z kompanii karabinów maszynowych przenieśli mnie do łączności. W marszu musiałem dźwigać na sobie cały ten rynsztunek: każda szpulka z przewodami ważyła osiem kilogramów, dwie szpulki to szesnaście, jeden aparat telefoniczny — cztery kilogramy, drugi, do włączania się do linii — półtora, a jeszcze zapasowa tarcza, kociołek, obcęgi, cztero i pół-kilogramowy automat, różne drobiazgi... Wszystkiego uzbierało się na jakieś dwa pudy. Żeby to związać razem, do kupy, to jeszcze można by wytrzymać, ale nie! Uciskały rzemienie, krzyżujące się na piersi, szorstki, mokry kołnierz płaszcza szorował po szyi. Do tego błoto. Sprężyste jak guma, wysysające jak topiel, czepiało się nóg, ściągało buty. Od czasu do czasu schodziłem z kolein wyłobionych przez czołgi. Nawet już nie cieszyłem się, że Niemcom powodzi się jeszcze gorzej. Z wściekłością wyrывałem nogi z tej ohydnej brajdy, czepiając się pokaleczonych, schlastanych prętów przydrożnych krzaków. Po wydostaniu się na suche miejsce, siadałem i, starając się nie spieszyć, zeszkrobywałem patykiem, albo po prostu palcami, błoto z butów i owijaczy. I kłamałem ile wlezie — na ponuro, bez przekonania. I dopiero później, gdy znużenie nieco ustępowało — bo naprawdę nie ustępowało nigdy, a wojna to przede wszystkim stałe znużenie — dopiero w jakiś czas później zaczynałem patrzeć na wszystko, co mnie otaczało, w identyczny sposób jak przed wojną; widziałem burą drogę, wzdętą porowatym błotem, pecyny tego błota, zoranego gąsienicami czołgów, połyskujące naftą od zetknięcia się z metalem, jaśniejszą plamę zgubionej fura-

żerki, połową kuchnię z oderwaną przykrywą, wypełnioną po brzegi mętną deszczówką, wesołą barwę zdobycznego przewodnika — czerwone i żółte sznurki, ciągnące się o jakieś dziesięć metrów od drogi. Z takich przewodników wiejskie dziewczęta plotły „namista” — zamiast paciorków. Jeśli siedziałem dłużej i przyglądałem się uważniej, wszystko to nabierało swoistej wyrazistości, każda rzecz zbliżała się ku oczom, głośno oświadczając, jakiego jest kształtu i koloru, i co w nim najbardziej istotnego. Ale nie można było siedzieć zbyt długo... Na jednym z takich popasów dostrzegłem, że z boku, trzy metry od drogi leży duży, ładny album, z okładką w celofanie. Patrzyłem na album i wahłem się. Aby go podnieść, trzeba było przejść kilka kroków po grząskiej brajdzie. A nuż zostały w nim jeszcze niezapisane kartki? Przemogłem się i poszedłem. Podniosłem album i zajrzałem od końca — nie, czystych kartek nie było. Przez ostatnią stronę biegł napis: obelżywe słowo składające się z trzech liter. „Bracia-Słowianie — pomyślałem z uśmiechem — Rezolucję wypisali”. Obelga była wypisana chemicznym ołówkiem, najprawdopodobniej jego ułamkiem, papier — podrapany. Początkowo chciałem znaleziony album rzucić, ale ostatecznie wsunąłem go pod ramię i powlokłem się dalej.

Wieczorem, na noclegu, otworzyłem album i przysunąłem się do palnika, zmajstrowanego z łuski od naboju.

Byli tam niemieccy motocykliści, pędzący nocą po zalanej wodą drodze, światła latarni przebiwały się poprzez deszcz; dalej był rysunek, przedstawiający scenę ataku: żołnierze biegli do przodu z wysuniętymi automatami, a pod ziemią w odwrotnym kierunku czołgały się umarlaki, Chrystus w mundurze feldfebla dźwigał krzyż na Golgotę, pociętą strzeleckimi rowami; jeszcze dalej portret mężczyzny, usta wykrzywione bólem, blizna na czole, na dole podpis po niemiecku: „Jeszcze żyję. 1943. Luty”; na następnej stronie człowiek o tej samej twarzy, stojący pod ścianą, rozstrzeliwano go, niżej napis: „Egzekucja dezertera”; obok inna wersja tej samej sceny, tym razem rozstrzeliwali artystę nie Niemcy, lecz nasi; na innym rysunku artysta niczym dzieciątko, znajdował się na rękach u Matki Boskiej, klęczącej przed oficerem; jeszcze jeden autoportret: artysta gładzi urwaną kobiecą rękę ze ślubną obrączką na palcu; kilku artylerzystów strzela z dział przeciwlotniczych do aniołów, zlatujących na spadochronach; żołnierz stoi pod szubienicą, na której wisi trup człowieka w samej bieliźnie, napis: „Ja

także pragnę być wolny”. Wszystkie rysunki były zrobione ołówkiem, jedynie autoportret z 43-go roku — piórkiem.

Oglądałem album, aż wreszcie ktoś krzyknął, żebym zgasił światło. Położyłem się, ale po ciemku widziałem rysunki Niemca. Wreszcie usnąłem.

Nosiłem przy sobie ten album prawie do samej demobilizacji, aż mi go odebrał zastępca politruka. Nie, mój stosunek do wojny był inny, niż tego Fryca, czy Hansa. Walczyłem, bo tak należało, a nie tylko dlatego, że mnie zmobilizowano. Ta wojna była moją wojną. Nie żałowałem, że jestem na froncie. Ale po wielokroć oglądając album, myślałem nie o wojnie. Zrozumiałem, że Niemiec bał się nie śmierci; źródłem przerażenia był fakt, że ktoś chwycił go za gardło i zmusił do posłuchu, odebrał mu wolność. Kto wie, może to właśnie wtedy, od tego Niemca, mego brata po sztuce, zaczęły się moje rozmyślenia o wolności i jej braku. Być może, właśnie wtedy przyszło mi do głowy, że złejsza jest śmierć, niż pobyt w więzieniu. Może od owego czasu stałem się tak ostrożny w rozmowach, pilnując swojej wolności. Wolności? Tak, jest wolności. Mogłem malować, piłem, kąpałem się w morzu, kochałem kobiety...

— Wiktor, czy skończyłeś szkic?

Czernow chce mnie ukarać za grzech, którego nie popełniłem. Chce skazać mnie na samotność, porzucić na bezludnej wyspie. Dobrze, trudno, niech próbuje, a ja się nie poddam, a ja stawię opór, tak łatwo mnie nie złamie. Będę wzywać pomocy, wysłę SOS, jakbym wrzucał butelkę do morza...

— Wiktor, co z tym szkicem?

Butelkę do morza, zupełnie jak w tej pieśni Miszki, „Butelka w morzu”!

*Pluszcze w morzu fala potyskliwa,
cicho pluszcze i butelkę unosi,
z wszystkich stron ją łagodnie obmywa,
ośmiornice — „Nie ruszajcie jej!” — prosi.*

*Wicher miota się, gwizdże wśród burzy,
niesie wieść do najdalszych wybrzeży.
Siność taka, że aż w oczach się mruży —
któryż okręt butelkę dostrzeże?*

— Wiktor!

— Czego chcesz!

— Czy skończyłeś szkic?

— Zaraz skończę.

A co jeżeli stanie się właśnie tak, jak w pieśni Miszki? W smutnej piosence, wywołującej zamyśłone westchnienia po zjedzonej kolacji... Jak w żalosnej piosence o ludzkiej bezradności, o przychylniej obojętności całego świata...

*Już zbierają się zwołane okręty
z wszystkich mórz, nim na niebie się zmierzchnie.
Oto płynie twój list przez odmęty —
wyciągajcie butelkę jak najśpieszniej!*

*Już ją czyjaś ręka poderwała,
już otwiera się koperta szklana.
Czeka żeglarz na samotnych skałach:
kiedyż będzie dłoń pomocy mu podana...?*

— Chłopaki, fajrant! Jazda do domu, do chałupy! Wittek, do diabła z tym szkicem! Jutro skończysz. Jadziem?

— Idźcie, ja jeszcze trochę podłubię.

— Jak chcesz. Czołem, cześć!

— Do widzenia.

Kiedy wszyscy poszli, pozbierałem ołówki, włożyłem papiery do teczki i poszedłem do domu. Przechodząc obok pracowni, w której wyrabiano szablony, zwolniłem kroku. Potem otworzyłem drzwi i zajrzałem. „Bandy” już nie było. Moi poprzedni rozmówcy stali pod ścianami i uśmiechali się świeżo namalowanymi ustami. Zbliżyłem się to tego, z którym nie zdążyłem dokończyć rozmowy.

— No, więc jak przyjacielu? Czymże ja właściwie zawiniłem?

— „Korzystajcie z komunikacji powietrznej! — odpowiedział jegomość. — Podróż do Soczi trwa trzy i pół godziny”.

— Nie wygłupiaj się! — powiedziałem. — Wygląda na to żeś mądrzejszy od twoich braci. Co miałeś mi do powiedzenia?

— „Korzystajcie z komunikacji...”.

— Słuchaj-no, nie bądź kanałą. Mów!

— „...podróż do Soczi trwa...”.

— A idź że ty do...

— „...trzy i pół godziny”.

Trzasnąłem drzwiami.

Irina miała śpiewne, potoczyste nazwisko — Jewlewa. Za każdym razem kiedy do niej telefonowałem, wydawało mi się, że śpiewam, wymawiając: I-R-I-N-A J-E-W-L-E-W-A... I za każdym razem przechodził przeze mnie dreszcz, gdy słyszałem pytające „Ta-ak?”.

— Irinka — powiedziałem — jak tam sprawy?

— Witeczku, mam czas! Mama zdecydowała, że wygodniej okres choroby spędzić u ciotki, i dziś rano zawiozłam ją do Filów. Więc jestem całkowicie wolna! Czy widzisz mnie, tańczącą przy telefonie?

— Naturalnie! — odpowiedziałem. — Stajesz na palcach i uderzasz piętą o piętę. Zaś lewą ręką przytrzymujesz szlafroczek.

— Witeczku, oślepię! Nie mam na sobie szlafrocza. I w ogóle prawie nic nie mam — ot, jakiś drobiazg.

— A tak! No, to w takim razie już pędzę.

— Szanowny panie, nie będzie pan na mnie czekał: zastanie mnie pan całkowicie ubraną, gotową do wyjścia.

— A gdzie pójdziemy?

— Wyrwiemy się gdziekolwiek, Witeczku. Przyjeżdżaj!

Wziąłem taksówkę. Trafiłem na młodego, zuchowatego szofera. Dziarsko przeskoczyliśmy przez skrzyżowanie, gdy już zapaliło się żółte światło. Milicjant pogroził nam ze szklanej budki.

— Siedź w tej szklance, jak ci dobrze! — burknął szofer. Jakiś czas jechaliśmy w milczeniu, potem poprosił mnie o papierosa i poinformował:

— Tylko co wróciłem z Naro-Fominska, jednego inżyniera tam zawiozłem. Kiedyśmy się godzili, pytam, czy jedzie sam. „Sam” — odpowiada. I rzeczywiście, sam jechał. Ale w samochodzie nie było ani jednego wolnego miejsca.

Zamilkł, czekając, aż się odezwę. Zapytałem:

— Jakże to?

— A bardzo zwyczajnie: cały wóz różnymi produktami zawałił. Powiadam: „Cóż to, wykupiliście wszystko, co było w moskiewskich sklepach?”. A on mi na to: „Drogi chłopcze — powiada — przecież żyć trzeba! Rodzinę — powiada — mam liczną. U nas — powiada w Naro-Fominsku żyje się pod takim hasłem: „Pij wódkę, chodź do kina, zagryzaj radiem”.

Roześmiałem się.

— No, więc przywiozłem go, towar wyładowałem, myśle sobie — sprawdzę jak z tym jest. Zajrzałem do sklepów prawda — ani jednego kartofelka! To już tu? Przed bramą? Dziękuję. Moje uszanowanie!



Wbiegłem na drugie piętro, zadzwoniłem.

— Witek, to ty?

— A właśnie.

— Poczekaj za drzwiami, aż skończę się ubierać.

— Irka, otwórz, tutaj straszy i wilki wyją...

— No, dobrze, wejdź, ale nie patrz na mnie...

Wszedłem z zamkniętymi oczami. Irina roześmiała się, wzięła mnie za rękę i poprowadziła do pokoju.

— Irka, a jakże to jest, że w nieprzyzwoitym neglizżu spacerujesz po korytarzu?

— Nikogo nie ma. Była sąsiadka, ale i ta poszła przed chwilą.

Otworzyłem oczy. Irina miała na sobie stary kąpielowy płaszcz, byle jak ściągnięty paskiem od gabardyny. Potrząła na mnie i uśmiechała się.

— Jakiś ty elegancki — powiedziała. — Sztafiruje się nawet do pracy. W niebieskiej koszulince składa wizytę swej dziewczynce...

Jeden rękaw miała rozerwany. Pocałowałem ją w ramię.

— Witek, Witek — powiedziała Irina — Witek, Witek...

...Nigdzie nie poszliśmy. Przed samym wieczorem zszedłem do sklepu, kupiłem butelkę wina i coś do przegryzienia. Jedliśmy i piliśmy, siedząc na łóżku, Irina troszkę miała w głowie, włosy jej rozstrzepały się, tuliła się do mnie.

— Witek, Witek — powtarzała co chwilę — Wiktor-zwycięzca... Jakaż ze mnie idiotka, że tyle czasu to odkładałam. Już cię więcej od siebie nie puszcze. Słyszysz?

Znowu połączyły się nasze oddechy. Widziałem z bliska jej mocno zaciśnięte powieki, usta wydawały się czarne. To było tak, jakbyśmy pływali po wzburzonym morzu. Fale zalewały nasze głowy, pod ciężkimi, wstrząsającymi ciałami ciosami brakowało tchu, potem unosiło nas do góry, ku oślepiającemu blaskiem słońcu i znowu strącało na dół, w

czarne przepaście zapamiętania. Chwytając powietrze, byliśmy tylko w stanie z jękiem wypowiadać nasze imiona...

Wyostałem się z łóżka ostrożnie, żeby nie zbudzić Iriny. Usiadłem w nogach i zapaliłem papierosa. Niezmierzona czułość, jakiej nigdy przedtem nie doświadczyłem, opadowała mnie bez reszty. Irina leżała z kolanami podciągniętymi do brzucha, kolana widniały wyraźnie w mroku, ręce były zabawnie przekręcone dłońmi do góry. Patrzyłem i myślałem, że obecnie jest mi najzupełniej obojętnie, czy jest piękna i mądra; nasze zbliżenie jest całkowite — i to najważniejsze. Kocham ją i kochałbym tak samo, gdyby miała krzywe nogi i szerniałe zęby, albo gdyby wygłupiała się w rozmowie. „Jesteś moją żoną” — pomyślałem i mocno zacisnąłem szczęki, żeby się nie rozpląkać. To mi się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Ani przez chwilę nie potępiałem siebie za to, że prowadziłem rozpustne życie, ale wywoływanie z pamięci innych kobiet w obecności Iriny wydawało mi się bluźnierstwem. Zachowywałem się zawsze tak samo, jak tuziny moich znajomych, jak i oni nawiązywałem i zrywałem stosunki z kobietami, podobnie o nich myślałem i mówiłem. Być może zachowywaliśmy się w trywialny sposób. Trywialność? Nie, nie o to chodzi. Jednak to zawsze było poszukiwanie, które samo przez się dawało rozkosz. Któż winien, że afirmacji samych siebie szukamy w zakazanej, wstydlivej ciemności, że słowa przez nas wymawiane, obniżają i strącają ku ziemi mądre pożądanie piękności? Ira, Irinka, jesteś moją żoną, szukałem ciebie i wreszcie znalazłem...

„Nie macie prawa ożenić się”. — Wstałem, — „Nie macie prawa spać z przyzwoitymi kobietami”. Łzesz! Mam prawo. Jestem przyzwoitym człowiekiem. Jestem rozumny i utalentowany. Szukaj innych, szukaj prawdziwych bydlaków. Szukaj uważnie, nie rzucaj się na zbyt jaskrawą przynętę. Szukaj. Tak, między nami są prawdziwi szpicle — jeżdżą tramwajem i metrem, chodzą do filharmonii i czytują Solżenicyna, przechodzą na emeryturę i hoduja kwiaty, należą do składu koleżeńskich sądów, pisują prace naukowe! Z nimi załatwiają swoje porachunki!

„Załatwiają swoje porachunki” — powtórzył głos Czernowa. — Jeżeli jesteś taki uczciwy, to te porachunki należą także do ciebie. Uchylasz się od odpowiedzialności, chcesz żeby inni zajęli się zeskrobywaniem błota, a ty będziesz popisywać się czystym sumieniem, jak świeżo oczyszczonymi butami. Zamiast drobniaków rzucisz pucybutowi: „Zga-

dzam się z wami całkowicie!” I będziesz dumny z swej cywilnej odwagi. „Nie, trzeba wziąć się do działania!”. Do działania? A ty, Feliksie Czernow, coś zdziałał? Za co siedziałeś w więzieniu? Ty i 99 procent was wszystkich z 58-go artykułu? Siedzieliście *za nic*. Wy także nic nie robiliście. Nic złego i nic dobrego — nie robiliście *nic*. Żal mi was aż do krwawych łez, ale nie macie czym pysznić się przede mną — wyście także byli beczcylni. Moja wina polega tylko na tym, że nic nie zrobiłem. Jeśli to można uważać za winę... Jeśli to można uważać za winę...



Ostatecznie nie opowiedziałem Irinie o tej sprawie. Nie chciałem zbędnymi rozmowami psuć naszych pierwszych godzin, naszych pierwszych dni.

Minał tydzień. Prosto z pracy jechałem do niej, a niekiedy Irina czekała na mnie przed pracownią. Wałęsaliśmy się po Moskwie, włóczyliśmy się wzdłuż wybrzeży, gapiąc się na neonowe pingwiny, zachwalające lody. Bardzo troszczyliśmy się o siebie nawzajem; tłumaczyłem jej, że Pirosmansizwili jest geniuszem, zaś Irina mówiła mi to samo o Szostakowiczu. Było naprawdę cudownie.

Właśnie podczas pracy temperowałem, poświsując, ołówki, gdy zawołano mnie do telefonu. Dzwoniła Irina. Powiedziała mi, że matka wróciła do domu i wobec tego nie może mnie dziś u siebie przyjąć.

— W takim razie przyjdź do mnie ty.

— Witeczku, muszę dziś zostać z mamą. Przecież to pierwszy dzień.

— Co u diabła! — wrzasnałem. — Jesteś moją żoną, czy nie jesteś?!

— Kochany, nie awanturuj się! Przede wszystkim, jeszcze nie jestem twoją żoną... Co? Nie rycz — niech będzie, że już żona. A po drugie, doprawdy, strasznie zaniedbałam gospodarstwo. Trzeba posprzątać, przeprać to i owo... Jutro zobaczymy się. Ściskam cię.

Powiesiłem słuchawkę. Obok stał kolega i podśmiewał się.

— Ożeniłeś się, co? A gdzie wesele? Masz węża w kieszeni?

Klepnąłem go po ramieniu.

— Nie płacz, nie żałuj! Będzie czym i gardziołko zwilżyć i do dzioba włożyć.

Po skończeniu roboty zastanowiłem się: co teraz z sobą robić? Przez ten ostatni tydzień przyzwyczałem się do codziennych spotkań z Iriną i czułem się teraz nieswojo. Poszedłem do Miszki Łurje.

Miszka mieszkał niedaleko ode mnie, na Trubnym Placu. Drzwi do mieszkania otworzyła mi sąsiadka. Zapukałem do pokoju Miszki, nikt nie odpowiedział, wszedłem.

Wszyscy siedzieli za stołem: Miszka, jego żona i Nina Riazencewa. Już stojąc pod drzwiami, usłyszałem, że się o coś spierają, a po wyjściu zobaczyłem, że Miszka jest zły jak diabeł, zaś Nina ma wypieki na twarzy. Żona Miszki siedziała z mocno zaciśniętymi ustami.

— Jak się macie, stara wiaro! — powiedziałem. — Cóż to za rozprawa sądowa między wami?

— Jak się masz — powiedział pochmurny Miszka.

— Co się stało?

Wszyscy milczeli. Potem Nina wstała.

— Na mnie już czas.

— Ninoczka, odprowadzę was — odezwała się żona Miszki.

— Do widzenia — powiedziała Nina. Poszły.

— Miszka, o co chodzi? — zapytałem. — Przydarzyło się coś złego?

— Przydarzyło się.

— Komu?

— Tobie.

Zrozumiałem.

— Acha — powiedziałem. — Czernow. Powinienem był was uprzedzić. No, opowiadaj. Szkoda, że się spóźnił. Nie miałem na to czasu.

— A na co miałeś czas?

— Na miłość.

— Mógłbyś w takiej sytuacji odłożyć obłapkę.

— Nie, Miszka, to nie obłapka. Żenię się.

— Z kim?

— Z Iriną Jewlewą.

— Ocho! — Miszka radośnie uśmiechnął się. — To mi się podoba! To dobry kawał!

— Może byś tak przestał uciekać od tematu? Opowiadaj, co się stało!

— Co się stało, to się stało! Stało się, że ten Feliks Czernow przyszedł do Niny i powiedział, że jesteś szpiclem, żeś na niego doniósł, że ma na to niezbite dowody.

— I co, pokazał te dowody?

— Tak.

— I co? Ty co o tym sądzisz?

Miszka odwrócił się i wpatrzył się w ścianę, na której widniała reprodukcja „Tancerek” Dégas’a.

— Miszka, dlaczego milczysz? Ty także sądzisz, że jestem żmiją? Miszka, przecież znamy się od szkolnych czasów.

— Słuchaj, Wiktor — Miszka wyprostował się. — Powinieneś pójść do Czernowa. Musicie wszystko wyjaśnić. Przecież obydwa jesteście rozsądnymi ludźmi. Przecież powinien zrozumieć, że lepiej milczeć, niż oskarżać, nie mając pewności. Jeśli chcesz, pójdę razem z tobą.

— Zaraz, Miszka, A ty, powiedz, ty jak sądzisz?

Misza milczał przez chwilę.

— Wiktor, wierzę ci — powiedział powoli — wierzę...

— Ale... Przecież chciałeś dodać „ale”!

Nie odpowiedział mi.

— Miszka! — rozdarłem się na cały głos.

— Tak jak gdybyś sam nie rozumiał — powiedział z niechęcią.

Podniosłem się.

— No, cóż. Dzięki i za to...

VI

W „Uzbekistanie” huczało, jak w wagonie bez miejscówek. Spocona służba biegła między stolikami i wymachiwała serwetkami, uciekając od zniecierpliwionych klientów. Obok mnie siedziała pijana dziwka i coraz to usiłowała zagadywać mnie po angielsku, ale nic jej wychodziło poza „spik ju inglisz” i „aj em gerł”. Towarzyszący jej kawaler, nudziarz o wysokim czole, z uniwersytecką odznaką w klapie, mówił: „Luda, zaczekaj!”, a gdy milkła na chwilę, przechylał się nad stolikiem i, maczając rękawy w sałacie, usiłował mnie przekonywać.

— Najbardziej obiektywna amerykańska gazeta to „New York Herald Tribune”. Radzę czytać „New York Herald Tribune”. Wszystko oceniając we właściwy sposób...

— A wy co? — jesteście reklamowym agentem? — zapytałem, odpychając jego wilgotną rękę, którą chwycił mnie za ramię. Ale natręt nie zrażał się.

— Nie — ja jestem docent Waszczekin. Siemion Aleksiejewicz Waszczekin. A wasze nazwisko?

— Fra-Diavolo.

— Cha, cha, ale żartowniś. Mówię wam: czytajcie...

Przerwał i spojrzał na mnie zakochanymi oczami. Dziwka znowu podniosła wrzask:

— „Spik ju inglisz?”.

— Zaczekaj, Luda! Zaraz wam wszystko opowiem: siedliśmy do pokera i przegrałem osiem rubli, tak? Grywacie w pokera?

W pokera! Ach, suczy synu! Spotkaj się ze mną na ulicy, to ja ci pokażę pokera!

Przechyliłem karafeczkę nad angelką. Nie starczyło nawet na pół angelki. Docent rzucił się usłuźnie.

— Za pozwoleniem! Naleję, bardzo proszę...

— „Aj em ger!”.

— Luda, zaczekaj! Bardzo mi się podobacie, wielce szanowny — che, che — Fra-Diavolo!

— Dobra! Nalejcie. Kelnerka, jeszcze trzysta gramów!

Kelnerka pochyliła się nade mną z gestem zatroskanej matki.

— A może już starczy? Proszę się nie gniewać, ale sporo już wypiliście.

— Nie szkodzi, panienko, nie szkodzi! Przecież widzisz — trzymam się doskonale.

Ale nie, nie czułem się dobrze. Owszem, byłem trzeźwy, ale cała sala rozpyływała się przed wzrokiem, w głowie postukiwały młoteczki, usta były straszliwie suche.

— Słuchajcie, Waszczekin! Jesteście docentem, co? Chciałbym was o coś zapytać. Tylko powiedzcie tej, żeby się nie pchała ze swoim „ingliszem”, bo ja ją zaraz po rosyjsku pošlę, gdzie trzeba! — dodałem w rozdrażnieniu. Byłem pewny, że jestem trzeźwy, kontrolowałem ton mego głosu, unosiłem się z całą świadomością.

— Luda, zaczekaj! Słucham was, kochany przyjacielu! Nazywam się docent Waszczekin...

— „Spik ju” — pisknęła Luda i zamilkła w rozżaleniu.

— Słuchajcie, Waszczekin! A propos, co to za idiotyczne nazwisko: Waszczekin, Naszczekin... Dobra, dobra, nie gniewajcie się... A, jest wódka! Dziękuję, proszę tu postawić. No więc proszę sobie wyobrazić, że was oskarżono o nikczemny, podły czyn. Nie jesteście w stanie udo-

wodnić, że nie zawiniliście niczym, jesteście bezbronni wobec oszczerstwa. Słuchacie mnie? Słuchajcie, bo jak nie... Jak-że, mój docencie, zachowacie się? Jak dacie sobie radę w życiu?

— Ja... Dziękuję, dziękuję. Za wasze zdrowie! Kcha! Tak. Gdyby mnie oskarżono o coś, czego... czego, coś... nie popełniłem, zachowałbym całkowity spokój! Byłbym spokojniutki!!! Bo przecież wiedziałbym, że nie jestem winien. Co?

— Dobrze powiedziane! Docent, ależ z ciebie zuch! Słuchaj-no, a ile godzin lotu z Moskwy do Soczi?

— Jak? Do Soczi? Zdaje się, jakieś trzy godziny, trzy i pół.

— Doskonale Waszczekin, znowu zgadłeś!

W tej chwili Ludzie zrobiło się niedobrze. Wstała, patrząc na nas tragicznym, bezmyślnym wzrokiem. Waszczekin skoczył, objął ją w pasie i uprowadził wołając pod moim adresem:

— Zaczekajcie! Nie odchodźcie! Musimy dokończyć rozmowy!

— Czy to miejsce jest wolne?

Jedno krzesło przy naszym stoliku było niezajęte, ale nikt do nas nie przysiadł się, bo na krześle leżała torebka Ludy. Wyprowadzając ją, Waszczekin zabrał torebkę.

— Tak, jedno miejsce — odpowiedziałem.

— To mi w zupełności wystarczy. Wiecie, ja nie lubię siedzieć na dwóch stołkach. Przez całe życie siedziałem zawsze na jednym. I wam życzę tego samego.

Był zupełnie pijany, miał około pięćdziesiątki, osowiałą, dobroduszną twarz, jasne, siwiejące włosy i małą łyśkę — dostrzegłem ją, gdy siadając, nieco pochylił się.

— No, co — zapytał, pocierając ręce — czego napijemy się? Panienko, poprosimy karafeczkę, sałatkę, karski szaszłyczek, dwie buteleczki mineralnej wody. Więc tak. Młodzieńcze, proszę o pozwolenie na skorzystanie z popielniczki. Więc tak. Bardzo koledze dziękuję.

— Jaki tam kolega! — burknąłem. — Jestem artystą.

— Ja także jestem artystą — podchwycił pijany jegoś. — Artysta w swoim rodzaju. No, ja tylko pożartowałem. Ale znałem wielu artystów. Często się z artystami stykałem. Zdarzało się nieraz, po całych nocach z nimi gawędziłem.

— A tak? Jesteście może historykiem sztuki? Albo krytykiem? Albo ministrem kultury?

— Uch, co za gorączka! Bardzo jeszcze młody. To nic, to przejdzie...

— To napijmy się. Bo zanim was obsłużą...

— Napiję się, synku, napiję. Policzymy się potem. Na twoje zdrowie. Więc im powiadam: „Wy co — artyści? Szkoda mi was — powiadam. — Taa-acy ludzie! Siadajcie” — powiadam. Tak, a teraz jestem na emeryturze. Więc tak.

— Nie bardzo rozumiem, jakieście mieli stosunki z artystami.

— A czy tylko z artystami?! Profesory, akademicy! Chemicy! Ja tu siedzę, a oni tam — gołąbkowie moi kochani. Cóż tak spoglądasz i oczkami mrugasz? Chcesz wiedzieć kim jestem? Proszę bardzo! Major! Major w służbie bezpieczeństwa. Dwadzieścia siedem lat, ani jednego grosza mniej! A teraz na emeryturę posłali.

Nagle zaczął mówić szeptem.

— Jesteś — oświadczają — niepotrzebny. Wykształcenie — mówią — niewystarczające. Odpocznijcie — powiadają. A na moje stanowisko — szczeniaka, młokosa. Tylko uważaj, pary z gęby nie puść! Ja z tobą, jak z własnym...

— Co?!

— ...jak z własnym bratem rozmawiam, jak z młodszym bratem. Mówię ci: oni wrócą, zawołają, powiedzą: „Majorze, ratuj!”. Ty, co myślisz, że te kawały to na długo? Te wszystkie ujeżdżalnie, jewtuszenki, sownarchozy, matka ich taka owaka... Milcz, nie gadaj. Zęby zaciśnij, milcz, nie rozpaczaj. Myślisz — ja jeden?! Myślisz — zapiję się na wygodnej emeryturze? Nieprawda! Idę Kuzniecką ulicą, a tamci walą naprzeciw, a tamci nic, tylko walą naprzeciw. Salutować w cywilu nie wolno, więc tylko wzrokiem mnie pozdrawiają! Nie! Diabła zjesz, a beze mnie nie dasz rady! Przyjdą, poproszą, a ja umyję się, ogolę, wyjdę do nich — i dopiero zobaczysz co my razem pokażemy! Cyt! Bo to, rozumiesz, słabeusze. „Wyrzutów sumienia — taki powiada — doświadczam, niewłaściwie poinformowałem”. A jakież ty masz prawo, żeby rozprawiać, co właściwe, a co niewłaściwe? Wykonałeś swój obowiązek! Wobec ojczyzny, wobec Partii! Wobec... Zresztą o Nim mówić nie zamierzam. Inni o Nim opowiedzą. Więc tak. Właściwie, czy niewłaściwie, ale poinformować należy. A my już potem wyjaśnimy. Z ciebie dobry chłopak, tyle że młody, oczy masz zadumane. Daj temu spokój, nie myśl za wiele! Nie filuj! Poinformowałeś

właściwie. To znaczy, nie tyś informował, pomyliłem się... Ale i ty mógłbyś dać informację. Prawdziwy z ciebie mężczyzna. Byłeś na froncie? Gdzie? Byłeś w kotle, w niewoli?

Nagle umilkł i wpatrzył się we mnie podejrzliwie.

— Tylko uważaj — zasyczał. — Zobowiązanie podpisałeś. Więc tak.

Przy sąsiednim stoliku zwolniło się jedno krzesło. Major wstał i przeniósł się. Zaraz mu przyniesiono zamówione jedzenie i picie, a on wciąż groził mi palcem i syczał: „Więc tak!”.

— Więc tak! Właśnie tak, a nie inaczej! Major puchnął w oczach, dwoił się i troił, przebierał się w szary mundur, obrastał szlifami i odznaczeniami, rozmnażał się, wypełniał całą restaurację. Więc tak! A właśnie że nie! Właśnie że nie tak! Tak nie będzie, jak ty chcesz, majorze, ścierwo ty przekłete, emgebisto, tak nie będzie! Zdechnę, ale wszystko zrobię, żeby tak nie było.

Nie pamiętam, kiedy i jak zjawił się Brynskij. Zdaje się, że najpierw robił mi znaki z drugiego kąta restauracji, ale nie wstałem, więc sam przyszedł do mego stolika. Wódki już nie miałem, poszedłem upominać się o to, co wypił emgebista. Brynskij powtarzał bez końca:

— Pluń na niego! Posłuchaj moich wierszy.

— Zaraz — odpowiedziałem — za chwilę.

Poszedłem do ustępu i podstawiłem głowę pod kran. Zbliżył się do mnie posługacz.

— Szanowny obywatelu, czy chcecie otrzeźwieć w ciągu piętnastu minut?

— Chcę otrzeźwieć! — odpowiedziałem. — Na całe życie.

— Na całe życie to się nie uda — odpowiedział rzeczowo. — O trzy rubelki poproszę.

Dałem mu trojaka. Zaprowadził mnie za przepierzenie, posadził na krześle i wsunął do rąk flakon z witaminą „B-prim”.

— Proszę zażyć — powiedział. — Ale uwaga — nie zasypiać.

Łykałem drażety, dławiłem się i nie wierzyłem w skuteczność tego środka. Jednakże po jakichś dwudziestu minutach wróciłem na salę, ślaniając się na zwiotczałych nogach, ale prawie zupełnie wytrzeźwiony.

Brynskij wciąż na mnie czekał.

— Posłuchaj — powiedział. — I wy słuchajcie — zwrócił się do Waszeczkin i Ludy, którzy w międzyczasie także wrócili. Twarz Bryńskiego skamieniała, chwycił się dłońmi za policzki i zaczął recytować:

*Przeminie, milcząc, groźny tłum stuleci,
byśmy ku prawdzie mogli podejść bliżej,
wtedy załona z mrocznych niebios zleci
i w krzyk uderzą archanielskie spiże.*

*A lud zawyje: „Jakże? To przedwcześnie...”
Błagalnie krzyknie: „Nie! — to nazbyt skoro...” —
i, czkawiąc, znów jakiegoś wodza weźmie,
by go w pościechu wiódł — fałszywy prorok.*

*Rzuceni w stadny pęd, w bezmyślny atak,
pod wzrokiem wodza, jak szalone dzieci —
i znowu brat podniesie broń na brata,
złot przeciw złu i fałsz fałszowi przeciw...*

*I czarny koń błyskaniem grzmiących podków
uderzy w granit, hukiem świat oniemi
i okres lodowcowy aż do środka
w tysięczny raz przepali łono ziemi.*

*...Wznosząc doktryny, swarząc się o władzę,
o, głupcy, nikt nie dojrzał w tępej złości,
iż życia sens — jedynie w równowadze
dobra i zła, ciemności i jasności!*

— Poeta! — zawołał Waszeczkin. — Prawdziwy poeta! Proszę o autograf. Nazywam się — docent Waszeczkin!

Z rana następnego dnia znalazłem w kieszeni kartkę z tym wierszem. Nie mam pojęcia, jakim sposobem tam trafiła. Być może, odebrałem Waszeczkinowi... Przecież znowu upiłem się jak bela.

.....

Wieczorem, mój bracie, wyjdę z domu i zejść do czeleści, gdzie stacje są nanizane na huk pędzących pociągów, gdzie bezmyślnie chętną się marmury i spiże, gdzie przewala się znużony i ponury tłum. Pęd poniesie mnie pod

miastem, pod ludzkimi narodzinami i zgonami, pod czułością i rozpustą, pod chaotyczną życiową pstrokacizną. Wyjdę z powrotem na powierzchnię, niosąc na pochylonych barach ciężar tego wszystkiego. Zapukam do twoich drzwi, zwalę ciężar na progu i zapytam: „Co mam z tym robić?” Wykrzywisz się przebiegłym, smutnym uśmiechem, jak gdybyś dobrze znał popasy i przepaście mojej drogi, zwycięstwa i ucieczki mojej podróży. Zacytujesz różnych ślamazarnych mędrców, długimi palcami ulepisz z powietrza potwory Apokalipsy i powiesz: „To przyszłość”. Nie uwierzę ci, mój bracie. Nie pozwolę mej obnażonej duszy wejść na lód i w ogień twoich proroctw. Zapytam: „Co mam robić teraz, dzisiaj?”. Wyciągnę z kupy gruzu mego bohatera, Wiktora, położę go na stole, zasypanym popiołem od papierosów. I zapytam: „Jak mam przyjść mu z pomocą?”. Nie odpowiesz ani jednym słowem i smutnie będziemy przyglądać się, jak zwija się w drgawkach na lepkiej ceracie, obok niedodanej kromki chleba, na brzegu stołu, z którego tak łatwo jest zlecieć. Będziemy na niego patrzyli, jak w Ogrodzie Zoologicznym patrzy się na małpy, rozczuleni i przerażeni ich podobieństwem do nas. Więc zapytasz mnie: „A ile w nim jest z ciebie samego?”. „Nie wiem — odpowiem ci — nie wiem. Zapewne bardzo dużo”.

Dopijemy wódkę, która została po wczorajszym pijaństwie, opowiemy sobie nawzajem nowiny i anegdoty, odejdę, odprowadzisz mnie spojrzeniem — będę walać się ulicami, zaglądać w twarze przechodniów i w oświetlone okna parterowe.

Dowlokę się do zaułka, w którym mieszkasz, kobieto, przyjaciółko moja, wejdę do twego domu. Razem pozbieramy odłamki naszej przeszłości, ułożymy z nich maleńki stos, zapalimy i będziemy grzali nasze wyziębłe dłonie. Nie zapytam cię, co mam robić, bo w twoich oczach dostrzegę zamiar ucieczki — od rozmyślań, od niebezpieczeństw, ode mnie. Chowasz się w dźwięki muzyki, między kwiaty, ukrywasz się w miłości do swego dziecka. Jakaż radę jesteś w stanie mi dać, jakże potrafisz uratować i mnie i mojego Wiktora?

Więc wrócę do domu, współczujące milczenie spotka mnie na progu, przylgnę ustami do ciepłych obojczyków i powoli zacznę wstawać z martwych, gotując się na nowe dnie i noce. Nie usłyszę pytania: „A ile w nim jest z ciebie samego?” — bo właśnie tu, tylko tu najlepiej wiedzą — ile.

Znowu znajdę się sam na sam z moim bohaterem, który leży, pijany i nieprzytomny, i powiem mu:

— *Wiktor, nie mogę ci w niczym pomóc. Jesteś skazany...*

VII

Poszedłem do pracy z ciężką głową, połamany, wymęczony. Zmusiłem się do pójścia nie dlatego, że nie mogłem jednego dnia opuścić — u nas pod tym względem jest dość duża swoboda — ale dlatego, że musiałem, koniecznie musiałem, dowiedzieć się czy cała sprawa już dotarła do biura. Wyglądało na to, że pragnąłem, aby wszyscy raz wreszcie wiedzieli o wszystkim, żebym przestał wisieć między ziemią i niebem.

W biurze wyglądało spokojnie, jak zawsze. Koledzy uśmiechali się, patrząc na mnie — miałem mocno pomięte ubranie, spałem nierozebrany — uśmiechali się, gdy co kilka minut piłem wodę.

Mieliśmy terminowe zamówienie: reklamowe wzorce dla Związku Prasy — i jak zwykle w takich wypadkach, wychodził na jaw w całej okazałości bezsens naszej organizacji. W żaden sposób nie można było rozdzielić pracy, ginęły teksty, ktoś już zaczął wrzeszczeć, że nie zostanie ani jednego dnia więcej w tym domu wariatów.

Dom wariatów! Gdyby mogli zobaczyć jak tam jest naprawdę! Czystość, porządek, telewizor, ścienna gazетка. Co prawda, nigdy nie odwiedzałem pawilonu dla niebezpiecznych wariatów, parokrotnie składałem wizyty tylko spokojnym. Wszyscy byli bardzo rzeczowi i skoncentrowani. Po prostu czytelnia biblioteki imienia Lenina, a nie szpital dla nerwowo chorych. Tylko że drzwi tam otwierają przy pomocy trójkątnych kluczy, takich jak do kolejowych wagonów. Sielanka, spokojne zacisze. Rezerwat wyzwolonej myśli.

Papierosy skończyły się, zaś palących w pokoju, oprócz mnie, nie było. Poszedłem do pracowni wzorcowej.

Drzwi były na pół otwarte. Słychać było zgłębienie wielu głosów.

— Zinka, nie hałasuj!

— Hallo, Edik, rzuć mi ściereczkę!

— Chłopaki, nowe wiersze!

- Lewuszką, kiedyż ty nareszcie ogolisz się?
- Wajś twierdzi, że krytyczny punkt widzenia...
- Hej, łobuziaki, ciszej tam! Lenok, recytuj!

*O polityce nie przestają śpiewać,
od gadania ochrypli im gardła —
a dziewczynka łzami się zalewa
i podbródek na dłoniach oparła.*

*Wciąż się kłóć — w jakich doktryn imię? —
brną jak w błocie w zawsze sprzecznych racjach,
ale śnieg, wbrew tej ich krzątanie,
niby najpiękniejsza dekoracja.*

*Jakbyś ludzkie serca nie wysuszał,
gwiazdy sypią się — złociste żniwa —
i już wiosną wzbiera rćć Celsjusza
i pierwiosnki do góry podrywa.*

- To słabe, Lenoczko, bardzo słabe!
- Jakież naiwne przeciwstawienia!
- A wiecie, dziewczynki, że mnie się podoba...
- I mnie także...
- Ale właściwie, o kim tu mowa? Kto nie przestaje gadać i kłócić się?

— To my wszyscy, którzy czytujemy gazety. Prawda Lenoczko?

— Wadim, ty jesteś szafa. Taka nieczuła szafa, kasa ogniotrwała, ważąca dwieście kilogramów. Bardzo się proszę, więcej do mnie nie mów!

Wszedłem. Wszyscy zamilkli. Twarze zwróciły się ku mnie — jedno z nich zmieszane, inne zaciekawione, albo wyzywające.

— Skończyły mi się papierosy — powiedziałem. Milczeli, nikt się nie ruszył. Po chwili Wadim, którego przedtem nazwano „szafą”, położył przede mną na stole paczkę papierosów. Wziąłem jednego, podziękowałem i wyszedłem dokładnie zamknąwszy za sobą drzwi. W pokoju od razu podniósł się hałas. Nie zdążyłem odejść nawet na pięć kroków, kiedy dogoniła mnie Lenoczka. Zatrzymałem się. Stała przede mną, przestraszona, ale zdecydowana, i nagle wypaliła, jakby skoczyła do wody:

— Prosimy was, Wiktorze Lwowiczu, przychodzić do nas wyłącznie w sprawach służbowych!

Patrzyłem na nią w milczeniu. Gwałtownie złożyła dłonie i zaczęła szeptać:

— Jak wyście mogli, jak mogli... Wy, taki... Coście ze sobą zrobili!

Ach, ty, Sonieczka Marmieladowa! Wybuchnąłem śmiechem.

— Lenoczko, proszę się uspokoić! Nie zabiłem żadnej staruchy.

— Co? Jaką znowu staruchę?

Już pędziłem ku wyjściu. Rzuciłem się na ulicę i skończyłem do publicznego telefonu.

— Nina? Proszę z Niną Wasiljewną Riażencową! Nina, tu Wiktor Wolskij. Chwileczkę, proszę nie rzucać słuchawki! Potrzebny mi jest adres Feliksa, Feliksa Czernowa. Co? Chcę go powstrzymać, dopóki nie jest za późno. Co? Nie, ja nie grożę... To później, teraz proszę o adres. Co? Co? Numer domu — 45. A mieszkania? Tak. Nina, nie bądź idiotką! Ach, Boże, cóż tu za różnica, czy jestem chamem, czy nie!

Potrącałem ludzi, nie zwracając uwagi na samochody ani na czerwone światła semaforów. „Pijany! — krzyczano za mną. — Chuligan!”. Szedłem, jak wezbrana fala, jak powódź, coraz bardziej rozwścieczony. Zułem w sobie przekleństwa i groźby. Szedłem, żeby całą siłą runąć na Czernowa. A potem rozpluskałem mój gniew bez żadnego skutku w czyściutkim przedpokoju mieszkania Czernowych. Urodziwa Asia powiedziała mi z obrzydzeniem:

— Feliksa nie ma w domu. Ale przypuszczaliśmy, że przyjdziecie. Toteż Feliks polecił mi oświadczyć, abyście wykonali to, co on wam mówił. Feliks nie zamierza zmienić swojej decyzji. Myślę, że postępuje słusznie i sprawiedliwie. Tacy ludzie jak wy nie mają prawa do pozostawiania w społeczeństwie. Mnie nawet dziwi, że jakaś kobieta może was kochać. Chyba, że chodzi o zwykłą szlaję...

Podszedłem do niej blisko. Gdyby drgnęła, cofnęła się, byłbym ją uderzył. Ale Czernowa nie ruszyła się z miejsca i jak przedtem patrzyła na mnie z najwyższym obrzydzeniem...



Po powrocie do domu położyłem się na kanapie. „Postępuje słusznie i sprawiedliwie”. Słusznie, ale niesprawiedliwie! Przecież jestem niewinny. Nie ma na mnie grzechu. Nie zawiniłem!

Owszem, zawiniłem. Nie siedziałem w więzieniu. Powinienem był siedzieć w więzieniu. Ale nie tak, jak Feliks Czernow. Nie za jakieś głupstwo. Powinienem był zrobić coś, za co należałoby mi się więzienie, łagry, katorga, kula w łeb!

Odezwał się telefon.

— Tak, to ja... Co? Żeśmy się ze sobą nigdy... Powtórzcie! Żeśmy się nigdy ze sobą nie znali? Dobrze, będę tak uważać!

Boże! — zawiniłem! Zawiniłem tym, czego nie zrobiłem, nie dokonałem, zawiniłem obojętnością i tchórzostwem. Tak samo jak wy wszyscy! Ale ja jeden, tylko ja jeden za was zapłacę.

Telefon.

— Tak, tak naturalnie. Tak. Proszę się nie obawiać, nie przyjdę. Żegnajcie!

Dobra, niech was wszyscy diabli! Pokonaliście mnie. Jesteście uczciwi i szlachetni, bohaterowie wzoru 1963 roku. Dokąd mam się schować przed wami? Dobra, zniknę. Zabiorę ze sobą tylko jedną osobę, na której mi zależy. To już możecie mi podarować, pokonanemu — podarować życie... Odjedziemy od was we dwoje. Dokądkolwiek, gdzie Irina będzie mogła zająć się muzyką, a ja — pacykarstwem. Na całe życie. Jedno drugiemu w zupełności wystarczy...

— Tak, to ja, tak, wszystko rozumiem, idźcie do diabła!

Zamieszkać z nią gdzieś bardzo daleko, a wy wszyscy możecie tu zostać. Bądźcie uczciwi, bądźcie szlachetni, bądźcie przekłeci.

Telefon...

Telefon...

Telefon...

Irina, dlaczego nie dzwonisz? Zadzwoń! Albo przynajmniej Ty do mnie zadzwoń, Panie Boże!

VIII

Drzwi otworzyły się. Do pokoju wszedł bez pukania Igołnikow. Podniosłem się na łokciu.

— Witeczku, można do was?

— Nie, Włodziu, do mnie nie można. Ani wam, ani nikomu. Jestem poza prawem, poza zasadami gry. Skończyłem się dla was raz na zawsze.

— Witek, przestańcie się wygłupiać! Ja temu nie wierzę, zrozumcie. Jesteście w stanie mi uwierzyć, że nie wierzę, że wierzę wam... tfu, do diabła, język się płacze! Przestańcie, nie chcę o tym nawet mówić.

— Słuchajcie, Włodziu, nie potrzebuję przykładania waszych kompresów. Nigdyście u mnie nie byli, to po co was tu teraz przyniosło? Żeby pocieszać? Żeby namawiać?

— Nic podobnego! — wyzwierzył się Igołnikow. — Masz go, znalazł pocieszyciela! Ot, przyszedłem trochę pogawędzić... No, niech będzie, powiem szczerze. Kiepsko się teraz czujecie, a ja was lubię, sami to dobrze wiecie. Więc ja? — mam odejść, czy zostać?

— Zostańcie.

— A, tak?! Jeżeli mam zostać, to bądźcie łaskawi przyjąć mnie jak należy. Powiedzcie: „Miły gościu, proszę się czuć jak we własnym domu!”.

— Proszę się czuć jak we własnym domu.

— Nie wyczuwam w głosie entuzjazmu. No, wszystko jedno, niech was Bóg osądzi, a ja tu zaraz zacznę gospodarzyć. Gdzie macie korkociąg! Dajcie noża — kielbasę pokraję. Są tu jakieś talerze? Kieliszki? Są. No, to dobra, można jechać!

Wypiliśmy po kieliszku.

— Kochany Witeczku, zaraz wam zdradzę wielką tajemnicę. Wszystko to jest wielka bzdura, nie przypisujcie temu znaczenia. Wszystko się wyjaśni, wszystko się wyprostuje. Nic strasznego się nie stało. Oskarżono was o zdradę? No, to co! Dobrze wiemy, że tak nie było. Pożarłem się o was z Czernowym. Pluńcie na to! Najważniejsze, że ludzie od was nie odeszli...

— Jakto „nie odeszli”? Wszyscy uwierzyli, wszyscy odwrócili się do mnie plecami...

— A na przykład ja nie uwierzyłem! Dobra, nie chodzi o mnie, to głupstwo. Nie uwierzyła, nie odwróciła się kobieta, którą kochacie. Tak, braciszku, wiem o wszystkim. Wiem i gratuluję z całego serca. Irina — to nadzwyczajny człowiek. Przecież ja przyjaźniłem się z jej bratem Leonidem, który zginął na froncie w 1944 roku. To dopiero był pianista, co?! Zresztą cała ich rodzina jest wybitnie uzdolniona pod względem muzycznym.

— Chwileczkę, Włodziu. Czy ona — *wie?*

— Wie. No, co tak wami rzuciło? Posłuchajcie: wczoraj byłem u Oksany Jampolskiej — wy jej nie znacie, pracuje w wydawnictwie jako korektorka, bardzo obrotna kobitka. Sporo się tam różnego ludu zebrało. I nagle pojawia się Irina. Okazuje się, że jest w przyjaźni z Oksaną, a bodaj że nawet jakieś powinowactwo jest, czy było, między mężami jednej i drugiej. No, ma się rozumieć, ucieszyłem się, zacząłem wypytywać o matkę. Dobra. Wieczór jak to wieczór. Ale przyglądam się, widzę — Irina jakaś jakby zmaczona. „Co ci jest — powiadam — dzieciątko, co ci się stało?”. „A bo — mówi — nie zgodziłam się dziś na pewne spotkanie, a potem okoliczności zmieniły się, dzwonię do niego, a jego w domu już nie było”. Więc mówię jej: „Drobiazg! Patrz, tu chłopaki jak dęby. A i ja jeszcze nie od tego”. Śmieje się. „Wiesz, Włodziu — mówi — za mąż wybieram się. Wolno mi machnąć się za mąż po raz drugi?”. Chciałem z nią wypić po kielichu z tej okazji, a tu słyszymy, ktoś wasze nazwisko wymienił. A mnie na żarty się zebrało. „Kto tam — zapytuję — opowiada o znajomym bazgraczu?”. I jakiś zwariowany babsztyl zaczyna pleść te wszystkie androny. Mnie to tak, muszę się przyznać, zaskoczyło, to mi nawet mowę na chwilę odjęło. A tu wstaje Irina i powiada... A w ogóle nie ważne, co im mianowicie powiedziała, dość że nakładła całemu towarzystwu z czubem. A ja jeszcze trochę dołożyłem. Po czym dumnie opuściliśmy zebranie, ku wielkiemu zmartwieniu gospodyni. Salon został bez muzyki i bez literatury. Odprowadziłem Irinę do domu, a sam do Czernowych. No i... poszło na całego. To wszystko. Dobrze, że zastałem was w domu. Ci szlachetni liberałowie w żaden sposób nie mogli was złapać telefonicznie. Gdzieście się podziewali?

— Cały tydzień spędziłem u niej.

— Drogi Witku, Irocza jest obok was i z wami, więc na wszystko inne machnijcie ręką; Niech to piorun spali! O, gdy kobieta odchodzi — to już bardzo niedobrze. A ze mną właśnie tak się stało swego czasu, Witek, możecie mi wierzyć — do Boga zacząłem się modlić. Panie Boże — powiadam — cóż to się dzieje? Panie Boże, przyjdź z pomocą! A przecież jestem bezbożnik, poganin, grubas, członek Związku Pisarzy Sowieckich, żeby szlag go trafił. A tu uchwyciło za gardło, zawyłem jak wilk! I zazdrość, męki zazdrości. Gdy tylko przypomnę tego gościa, z którym chciała odejść, to aż mnie trzęsie ze wstrętu i niena-

wiści. Wszystko w nim było obrzydliwe: i głos i postać i sposób bycia. Teraz dopiero zdałem sobie sprawę: człowiek jak każdy inny — nie głupi, ma swoje zalety, dobry pracownik, uczciwy. Ale wtedy! Wychodziłem z siebie na sam jego widok. A największa udręka, ta wyobrazić ich sobie razem — do tego łapy ma włochate... Co na niego spojrzę, to aż mnie skręca, jak gdyby nie ją, tylko mnie brał w ramiona, Ach, Witeczku, jaka to męka, jakie nieszczęście...

Przerwał, nalał wódki do szklaneczek. Wypiliśmy.

— Włodziu — powiedziałem — to ja do niej zatelefonuję...

— Nie trzeba. Ja sam do niej później zadzwonię... Więc, mówię, nacierpiałem się wtedy za swoje. Chciałem wyjechać. Pracowałem wtedy w dzienniku. Przychodzę do naczelnego i powiadam: „Zwolnij z pracy!”. „A co się stało?”. „Odchodzę — powiadam — Boga poszukiwać”. A ten mi na to: „Szukaj królestwa Bożego w samym sobie, a społeczeństwo ci pomoże”. Tak, no, zdarzyło się, starzyzną dawno już obrosło. A po co ja to wszystko powiadam? Po to, Witeczku, że nie macie prawa do narzekania, macie w sobie twardy kręgosłup, jesteście opancerzeni, łatwo się nie rozkleicie...

— Włodeczku — powiedziałem — proszę mi nalać, wypijemy jeszcze po jednym. Włodziu, jesteście zadziwiająco zacnym człowiekiem.

— To nie moja zasługa, to nie ja, taki już klimat. My, Rosjanie, jesteśmy dobrymi z braku woli, bośmy się poddali swemu losowi, bo wszystko, co dokoła, wszystko, co było i jest — to miraże, fatamorgana. Wszystko jest niepewne, wszystko chwiejne. Jesteśmy źli z tego samego powodu.

Jak wszyscy alkoholicy, Igołnikow szybko się upijał.

— Amerykanin albo Szwed — mam na myśli zwykłych, przeciętnych ludzi — nie staje się dobrym czy złym bez żadnego powodu. Mają konkretne, utylitarne pojęcie sprawiedliwości. Nie rozrzucają na wszystkie strony swoich emocji. Oszczędzają samych siebie, oszczędzają swój czas. A my pysznimy się, jak głupcy, że już nie minuty, nie dni, ani lata, ale całe życie, całą epokę wtykamy psu pod ogon. Wiemy sami, żeśmy durnie, a jednak pysznimy się. A jak potrafimy zęby pokazywać, kiedy cudzoziemcy użalają się nad naszym losem! Jeden z moich przyjaciół nawet wierzył ułożył na ten temat — jakiś Francuz go przekonywał,

że jesteśmy bardzo nieszczęśliwi. Jest w tym wierszyku taka zwrotka:

*Ty, cudzoziemcze, się nie staraj,
i za wzór nie stawiaj mi nikogo,
my dwaj — oprawca i ofiara,
idziemy zawsze wspólną drogą.*

— Nie, mybyśmy *tam* żyć nie potrafili. I wcale nie ze względu na niemożność zarobkowania na życie, wcale nie! Mam dwadzieścia zawodów, wy macie tylko jeden zawód, ale za to uniwersalny. Nie, nie o to chodzi. Czy mieszkając zagranicą, byłbym w stanie wdrzeć się o jedenastej wieczorem do pokoju człowieka, z którym nie łączą mnie bliskie stosunki, i zacząć się przed nim wywnętrzać, jak wywnętrzyłem się przed wami? Nigdy! Serdeczna tkliwość, Witeczku, to taka waluta, za którą na Zachodzie nie kupisz nawet figi. A my w Rosji siedzimy po uszy w łajnie i prowadzimy takie czułe rozmowy! Chowamy się jak strusie, w wieloznaczną doniosłość... A propos strusi... Witeczku, jesteście artystą... Powiedzcie — kogo przypominają strusie?

— Nie wiem — wymamrotałem.

— Baletnice. Te idiotyczne ptaki przyjmują pozy klasycznego baletu. Nawet ogony podobne są do spódniczek baletnic. O czym mówiliśmy? Ach, tak, wymyślaliśmy pod adresem Rosji! Zawsześmy jej wymyślali, przez całą historię, od czasów samego Słoneczka, księcia Włodzimierza. Dziennikarskie gryziopórki piszą, że jeśli kto tego rodzaju rozmówki prowadzi, ten kasa rękę, która go karmi. Kretyni! Przecież to jest moja własna ręka! Chcę ogolić się — niespodziewanie oświadczył Igołnikow.

Włączyłem elektryczną maszynkę.

— Golenie to jakby codzienny obrządek wyrzeczenia się barbarzyństwa. Piotr Wielki — tyka holenderska — dobrze to rozumiał. W ten sposób skuteczniej zapanował nad bojarami, niż przy pomocy katowskiego powroza...

Nie słuchałem go dłużej. Tęsknota za Iriną zmusiła mnie do działania. Podeszedłem do telefonu, nakręciłem numer.

— Nie ma jej w domu — odpowiedziała matka. — Nie, nie wiem... Dobrze, powtórzę... Do widzenia.

Irka, gdzie jesteś?! Jesteś w tym samym mieście, co ja, w tym samym kraju, na tej samej planecie. Czemu się nie

odzywasz? Nie trzeba, żebyś chodziła do znajomych i kruszyła kopie w mojej obronie. Przyjdź do mnie, wyrzucimy za drzwi tego miłego, śmiesznego grubasa i zostaniemy sami. Irka, przyjdź!

IX

Przyszła. Przyszła po dwóch dniach, dwóch długich dniach, wypełnionych telefonami i listami, które rwały mi serce. Pędzono mnie przez szpaler egzekucyjny. Ci sami ludzie, z którymi przedtem prowadziłem rozmowy, popijałem, chodziłem do kina, zawierałem i rozwiązywałem przyjaźnie — ludzie ci stali teraz z przygotowanymi kijami. Były to kije różnego rodzaju: milczenie, uprzejma pogarda, ostrożne zainteresowanie, obojętność. Wydawało się im, że wiedzą o mnie wszystko, i w tej rzekomej wiedzy musiałem brnąć i tonąć, jak w gęstej mgle.

Zastałem ją w moim mieszkaniu.

— Sąsiedzi pozwolili mi wejść.

— Irina! Z czym... przychodzisz?

— Witek, przychodzę, żeby ci powiedzieć, że nie wiem w to, co o tobie opowiadają.

— Irinka!

— Zaczekaj! Nie wierzę, ale dłużej już nie mogę. Przez te trzy dni stale z kimś rozmawiałam, broniłam cię. Nie miałam ani jednej wolnej chwili, stale ktoś do mnie przychodził, telefonował do mieszkania, do biura. Zadziwiające, że aż tyle osób wiedziało, co nas ze sobą łączy. Witek, Witeczku, walczyłam z wszystkich sił!

Zaczęła płakać.

— Witek, jestem słaba, jestem niedobra! Ja już nie mogę. Przecież to na zawsze, przecież to na całe życie. To jest jak piętno. Witeczku, wiem dobrze — to nieuczciwie zostawić ciebie samego w nieszczęściu, ale ja nie mam już siły.

Miała wychudłą twarz, boleśnie skurczone usta, cienie pod oczami. Ale to nie były owe fioletowe cienie, które każdego rana wygładzałem końcami palców.

— Uderz mnie, wypędź, powiedz cokolwiek...

— To niepotrzebne, Ira. Masz rację.

— Witek, kiedy to wszystko się skończy...?

— Prędko się nie skończy. W tej chwili jestem zadzu-

miony. Żadne poświęcenie na nic się nie zda. Tak, naturalnie, może kiedyś, z czasem... Idź. Nie możesz mnie uratować.

A jednak mogła mnie uratować.

Posłała mi od drzwi żałosny, zawstydzony uśmiech. I poszła.

Niech żyje liberalna inteligencja! Niech żyją niezłomni strażnicy moralności! Niech żyje nasza myśląca młodzież! Przyjaciele moi, macie rację. Feliks, masz rację, Miszka, masz rację, Nina, macie rację, młodzi artyści z wzorcowej pracowni, macie rację! Irina, masz rację. Ja także mam rację. I wszystko jest w największym porządku, wszystko — prawidłowo. Wiktorze Wolskij, jest nas dwóch. Jeden z nas siedzi tu, w tym pokoju i przygotowuje decyzję; drugi z nas siedzi tam, u Łurje albo u Riażencowych, i z oburzeniem mówi o pierwszym, o wyrzutku, o szpiclu. Wolskij numer jeden, zajmij jego miejsce. Spróbuj, znajdź jakiegokolwiek usprawiedliwienie dla siebie, dla donosiciela. Nie ma usprawiedliwienia dla siebie, dla donosiciela. Nie ma usprawiedliwienia. Jesteś skazany, Wolskij numer jeden. Wolskij numer dwa wydał już wyrok. Ale i ty, numer drugi, ty sędzia, także już jesteś skazany. Teraz połączyć się w jedno i porachować się za nas samych i za wszystkich innych. Za bezczynność, za to, czegośmy nie zrobili. Ej, wy, wielbiciele Hemingwaya, Picassa i Prokofjewa, słuchajcie! Zapłacę za winę, ale nie tę, wymyśloną przez was, ale za winę rzeczywiście istniejącą, za moją winę i za waszą! Waszą! Waszą!

.....

— Ale proszę posłuchać, przecież wiecie, że nie wtrącam się do ich spraw, po prostu oceniam... Szkoda, rozumie się, wielka szkoda, ale cóż ja mogę na to poradzić? Porządek to jest porządek, jak powiadają ci, oni jakże się nazywają? Ach tak, Niemcy. A cóż tam, właściwie, stało się? Tak... tak... tak... Któż ostatecznie zawinił? Nie, nie o to chodzi. Jest oczywiste, że wszyscy są winni, więc on także. Zapytuję, kto popełnił to, co mu przypisują, no, tak, tę niewielką, głupią winę... A-a-aa... Jeżeli tak, to przecież to można by załatwić w trybie nieoficjalnym; niech ten drugi, ten, co siedział, też dostanie za swoje, trzeba tylko to jakoś uzasadnić, ostatecznie wszyscy wiedzą, że wśród pokrzywdzonych także zdarzali się prowokatorzy... Ach, to

już jest przewidziane? Widzicie, jak dobrze się układa! To tylko potwierdza moją zasadę nie wtrącania się do cudzych spraw. Właśnie pozwoliłem sobie udzielać rady i, okazuje się, że zupełnie niepotrzebnie... Jak? Także i ten, co już umarł? To było samobójstwo? Nie ma co, całkiem nieźle... A gdzie on obecnie przebywa? U nas? Hm... Co? Nie, nie, to absolutnie niemożliwe... Proszę zrozumieć: wszystko rozwija się w normalny sposób... A zresztą, tak czy owak, zawinił, jeśli nie w tym, to w czym innym... Że utalentowany... owszem, ale jakież to może mieć znaczenie... Pewnie, że szkoda... Wielka, wielka, wielka szkoda...

X

Zaczynam ubierać się. Wciągam wyprasowane spodnie, wkładam spinki w mankiety koszuli, zawiązuję krawat najmodniejszym sposobem. Jestem dandys, jestem elegant, idę na koncert do sali imienia Czajkowskiego. Już czas zacząć interesować się muzyką. Dziś występuje — ależ kolejki przed kasą! — słynna amerykańska — czy kto nie ma zbędnego biletu? — śpiewaczka-Murzynka. Kto przyniósł bilet? Kiedy obudziłem się, leżał na stole. Nie kupowałem żadnego biletu. Kto go przyniósł? Drzwi były zamknięte. Wszystko jedno, pal to diabli! Idę na koncert.

Obywatelu konduktorze, ile na plac Majakowskiego? Acha! Co, nie ma reszty? Nic nie szkodzi, proszę się nie kłopotać, wystarczy do Kijowskiego, za pozostałe pieniądze przejdę się na piechotkę, to nawet dobre dla zdrowia. Że, co, że ze mnie żartowniś? A po co mam się smucić? Kto przyniósł bilet? Głupstwo, najpewniej sam go kupiłem, albo dali mi go w piekarni, zamiast reszty.

Nareszcie przyjechaliśmy! O-cho-cho, ależ nóżki! To są nóżki! Ty, suko, myślisz, że mi potrzebne twoje nogi? Nie, to nie do was, to ja tak mówię, sam do siebie.

Jak tu przyjemnie! Ciepło i zapach pudru. Tak, to miejsce numer dwudziesty drugi. Co? Jakie koncerty są zapowiedziane? Nie wiem, panienko, ja tu trafiłem przypadkowo, nie jestem wielbicielem muzyki. Nie, stale mieszkam w Moskwie. A panienka? Z Wolska? Zabawne — moje nazwisko — Wolskij. Co, nie słyszeliście o mnie? Nic nie szkodzi, jeszcze usłyszycie. A gdzie to jest — ten

Wolsk? W okręgu Saratowskim. Szkoda, nigdy tam nie byłem. I nie mam zamiaru tam jechać, choćby nawet panienka mnie zaprosiła. To i co z tego, że nie Kocham muzyki? Przypadkowo, najzupełniej przypadkowo, ktoś przysłał mi bilet przez zamknięte drzwi. Naturalnie, żartuję. Wszyscy moskiewscy konduktorzy znają mnie jako kawalarza. A proszę zgadnąć. Nie, nie jestem inżynierem. Ani doktorem. Ani nauczycielem. Mam posadę na strzelnicy, w Parku Kultury. Nie, nie jako instruktor. Jako tarcza strzelnicza. Ta-ak. Rozumiecie? Różni tam, głównie liberałowie lubią pochwalić się, jak celnie strzelają, więc mierzą do mnie. A mnie płacą za to pieniądze. Żeby poważnie? Owszem, mogę mówić poważnie. Pracuję jako kozioł. Bo to nie wiecie, co to jest kozioł? Z brodą, z nogami — me-e-eee! Czemu panienka ucieka? Przestraszyła się? Chciałem powiedzieć, że występuję w roli kozła ofiarnego...

A to właśnie ta murzyńska znakomitość! Głos ochrypły, ale to widocznie tak potrzeba. No, już, proszę, nie mówię ani słowa.

Powiedziałeś, że cieszyłeś się wolnością. Mogłeś pić wódkę, ale wódka była zatruta. Mogłeś kąpać się w morzu, ale pod wodą były schowane aparaty podsłuchowe. Mogłeś malować obrazy, ale malowałeś potem łagierników z Magadanu i Tajnotu. Mogłeś poszukiwać przygód miłosnych z kobietami — to były narzeczone, żony, wdowy tychże łagierników... Wolność? „Jeśli chodzi o ilość kalorii i łatwość trawienia margaryna w niczym nie ustępuje śmietankowemu masłu, a jest dwukrotnie od niego tańsza”. Dlaczego tak boli głowa?

Co to? Przerwa? Nie, nie będzie przerwy!

Towarzysze!

Właśnie tak, patrzcie w moją stronę! Będę mówić z tego miejsca, bo obawiam się, że mnie pochwycą zanim dojdę do estrady.

Towarzysze!

Stosowanie re-pre-sji nie u-sta-ło! Nie zlikwidowano ani więzień ani obozów! To gazeciarskie kłamstwo! To kłamstwo! Nie ma najmniejszej różnicy, czy to my siedzimy w więzieniu, czy więzienie znajduje się w nas samych! Wszyscy jesteśmy więźniami! Rząd nie jest w stanie nas uwolnić! Potrzebna jest operacja! Wypuście, wytnijcie ze siebie łagry! Wy pewnie myślicie: to sadzało nas do więzień CzeKa, NKWD i KGB? Nie — to my sami. Państwo

— to my. Nie pijcie wódki, nie kochajcie się w kobietach, wszystkie one są wdowami!

Zaczekajcie, dokąd biegniecie?! Nie uciekajcie! Tak czy owak, nigdzie nie uciekniecie! Nie uciekniecie od was samych!

Towarzysze, zaczekajcie! Może wiecie, kto przyniósł bilet, to bardzo dla mnie ważne. Nie wiecie?

Co wyprawiacie, przecież podusicie się w drzwiach nawzajem... Cóż za ludzie!

Kto przyniósł bilet? Dlaczego nikt mi nie odpowiada? Ścierwa, gady, braciszki — kto mi da odpowiedź, kto? Przecież ja dla was, wyrzutki...

Mać twoja, któryś jest w niebie — to Ty przyniosłeś mi bilet?!

XI

Niedawno skończyłem trzydzieści osiem lat. W dniu moich urodzin urządzono z tej okazji zebranie towarzyskie. Było bardzo wesoło: śpiewano, recytowano wiersze, rozwiązywano szarady, bawiono się w „zepsuty telefon”. Jeden z obecnych dostał takiego napadu śmiechu, że trzeba go było ratować kroplami walerianowymi.

Znowu zacząłem rysować. Najlepiej udają mi się tytuły i hasła. Używam do nich farb wodnych. Mam dużo farb i ołówków, ponieważ wszystkim podobają się moje rysunki, więc przynoszą mi wszystko, czego potrzebuję.

W dniu urodzin otrzymałem pudełko kolorowych ołówków; Iwan Aleksandrowicz podarował. Był bardzo zajęty tego dnia, ale mimo wszystko przyszedł, żeby mi złożyć urodzinowe życzenia.

Mamy telewizor. Niedawno oglądaliśmy film w dwóch seriach — „Rosyjski cud”. Jeden z widzów dostał takiego napadu śmiechu, że trzeba go było ratować kroplami walerianowymi.

Czuję się teraz dobrze. Tylko głowa bardzo boli i ciągle jestem senny.

Parę dni temu przyszła Irina. Przyniosła mi kwiaty. Była bardzo smutna i cały czas płakała. A potem przyszedł Iwan Aleksandrowicz i uspokoił ją. W ogóle uspakajanie przychodzi mu bardzo łatwo. Później mi powiedział, że Irina jest piękną kobietą.

Jest już jesień, panują chłody, ale palą u nas dobrze, więc nie marzną. Codziennie, jeżeli deszcz nie pada, chodzę na spacer. Ogród jest wyjątkowo ładny, duży, tylko w zbyt jaskrawych kolorach: dużo żółcizny i czerwieni, od tego boli głowa.

Dziś jest 28 lutego 1963 roku. Nazywam się Wiktor Wolskij.

Znalazłem coś interesującego. Przywiązałem przy kalesonach. Tam są z tyłu takie tasieczki, więc przywiązałem do nich znaną rzecz.

Niekiedy, gdy deszcz nie pada i głowa przestaje boleć, mam chęć odejść stąd gdzieś bardzo, bardzo daleko, gdzie by nie było tylu osób. To wszystko są bardzo dobre i rozumne osoby, ale zawsze ze mną, zawsze ze mną, i już mnie nuży ich obecność. Bardzo już pragnąłbym być zupełnie sam.

Teraz, gdy jestem w posiadaniu znalezionej rzeczy, będę mógł to uczynić. Ale nie zamierzam spieszyć się. Zaczekam na zimę, kiedy zacznie padać śnieg, albo — jeszcze lepiej — kiedy przyjdzie śnieżna zima, żeby nie mogli natrafić na moje ślady. Doczekam się nocnej zimy, włożę szlafrok i otworzę drzwi trójkątnym kluczem, który znalazłem i ukryłem w kalesonach. Muszę dodać, że to prawie taki sam klucz jak te którymi otwierają wagony kolejowe.

Odejdę stąd i znowu będę sam.

MÓWI MOSKWA

I

— *Miju!* — *placze mały, słaby kotek.*
— *Miju!* — *jeszcze się miauczenia nie nauczył.*
Opuszczony, sam, ze strachem i tęsknotą,
pod ławkami włóczy się i kluczy.

A na ławkach siedzi ludzi zgraja,
tacy wielcy, silni, tyle ludzi wszędzie.
Samochody, jak złe psy, szczekają.
Kotek przerażony: co z nim będzie?

W świat puścili go, samego zostawili,
jakże cięży samodzielność w świecie.
— *Miju!* — *kotek wyzwolony kwili.*
— *Wytłumaczcie! Jak mam żyć, powiedzcie!*

Cóż — podrośnie kotek i okrzepnie,
w kły, w pazury zaopatrzy się wkrótce,
ostro błysną jego żółte ślepia,
jak rozbita butelka po wódce.

I nauczy się „Mia-u”! Krzyknie z całej mocy,
że jest gotów wbić pazury w wraźą szyję;
a na razie — serce w nim łomoce,
a na razie: — Miju... miju... miju...

Ilja Czur „Moskiewskie bulwary”

Gdy obecnie staram się w myśli odtworzyć wydarzenia ubiegłego lata, jest mi niezmiernie trudno usystematyzować moje wspomnienia, połączyć je i wyłożyć wszystko, co widziałem, słyszałem i czułem; ale ów dzień, gdy się

t o zaczęło, zapamiętałem bardzo dobrze, aż do najdrobniejszych, nic nie znaczących szczegółów.

Siedzieliśmy w ogrodzie, na podmiejskiej wsi. Poprzedniego dnia, wszyscy, którzy zjechaliśmy na urodziny Igora, mocno popiliśmy, hałasowali i nareszcie udaliśmy się na spoczynek, przekonani, że będziemy spali aż do południa; jednakże ta podmiejska cisza zbudziła nas już o siódmej rano. Wstaliśmy i zaczęliśmy wszyscy razem zachowywać się w najbardziej nonsensowny sposób: biegaliśmy przez aleje w samych spodenkach, podciągaliśmy się na drążku (i tak nikt nie potrafił zrobić tego więcej, niż pięć razy), zaś Włodek Margulis nawet oblał się wodą ze studni, chociaż wszyscy wiedzieli, że z rana nigdy się nie myje, żeby się nie spóźnić — jak twierdził — do pracy.

Siedzieliśmy, żywo spierając się, jak najlepiej spędzić niedzielę. Naturalnie, była mowa o kąpeli, o grze w siatkówkę i przejażdżce na łódkach; jakiś rozzuchwalony entuzjasta zaproponował nawet wyprawę na piechotę do sąsiedniej wsi, do cerkwi.

— To bardzo piękna cerkiew — powiedział — bardzo stara, tylko nie pamiętam, z którego stulecia...

Wyśmiano go — nikomu nie uśmiechała się perspektywa zapychania ośmiu kilometrów w takim upale.

Tworzyliśmy, zapewne, bardzo osobliwe widowisko: trzydziesto-trzydziestopięcioletni mężczyźni i kobiety, porzbiani, jakby to było na plaży. Przez delikatność staraliśmy się nie zauważać nawzajem różnych śmiesznych i żalonych niespodzianek: zapadłe piersi i zaznaczające się brzuszki u mężczyzn, owłosione nogi i brak wciętej kibici u kobiet. Zналиśmy się wszyscy od dawna, wiedzieliśmy, jakie kto nosi garnitury, krawaty i suknie, ale nikt z nas sobie nie wyobrażał, jacy jesteśmy bez ubrania, w naturalnej postaci. Któżby, na przykład, mógł odgadnąć, że Igor, taki elegancki i zawsze dbający o siebie, mający niewątpliwe powodzenie u koleżanek w akademii, posiada krzywe nogi? Oglądać siebie nawzajem było tak samo interesująco, śmiesznie i wstydliwie, jak przyglądać się pornograficznym zdjęciom.

Siedzieliśmy, mocno przyklepieni tyłkami do krzeseł, głupio wyglądających na trawniku, i rozmawialiśmy o oczekujących nas sportowych wyczynach. Nagle na tarasie zjawiała się Lila.

— Chłopcy — powiedziała — nic nie rozumiem.

— A cóż ty właściwie masz do rozumienia. Chodź do nas.

— Nic nie rozumiem — powtórzyła, uśmiechając się żałośnie — radio... Nadawali przez radio... Usłyszałam tylko zakończenie... Za dziesięć minut znowu będą nadawać.

— Coś bieżącego — speakerskim basem powiedział Włodek — dwudziesta pierwsza z kolei obniżka cen chomątów i popręgów...

— Chodźcie do domu — powiedziała Lila. — Bardzo was proszę...

Tłumnie wtargnęliśmy do pokoju, w którym na gwoździu wisiał głośnik z plastyku. W odpowiedzi na nasze zdumione pytania Lila tylko wzdychała.

— Wzdycha jak lokomotywa — zażartował Włodek. — A co, dobrze powiedziane? Określenie zupełnie jak z Ilfa i Pietrowa.

— Lilka, przestań z nami rozrabiać — zaczął Igor. — Wiem dobrze, że ci się samej nudzi przy myciu naczyń...

I właśnie w tej chwili przemówiło radio.

— Tu mówi Moskwa — odezwał się głośnik — tu mówi Moskwa. Nadajemy Dekret Rady Najwyższej Związku Sowieckich Socjalistycznych Republik, z dnia 16-go lipca 1960 roku. W związku z rosnącym dobrobytem...

Obejrzałem się. Wszyscy stali spokojnie, wsłuchując się w przelewający się baryton speakera, a tylko Lila sama jedna uwijała się, jak fotograf przed dziećmi, coraz to robiąc zapraszające gesty w kierunku głośnika.

— ...naprzeciw życzeniom szerokich mas pracujących...

— Włodek, proszę o zapalki — powiedziała Zoja. Ktoś na nią syknął. Wzruszyła ramionami, chwyciła dłonią papieros który wyleciał z ust, odwróciła się ku oknu.

— ...ogłosić niedzielę 10 sierpnia 1960 roku...

— O, to właśnie! — zawołała Lila.

— ...dniem jawnych morderstw. W wymienionym dniu wszyscy obywatele Związku Sowieckiego, którzy ukończyli szesnaście lat, będą mieli prawo swobodnego zamordowania każdego innego, obywatela, z wyjątkiem osób wymienionych w punkcie pierwszym dodatku do niniejszego dekretu. Dekret staje się prawomocny 10 sierpnia 1960 roku, o szóstej godzinie z rana i traci moc o 24-ej tegoż dnia. Dodatek. Punkt pierwszy. Zabrania się mordować: a) dzieci poniżej szesnastu lat; b) wojskowych i pracowników mi-

licji w mundurach; c) pracowników komunikacyjnych przy wykonywaniu obowiązków służbowych. Punkt drugi. Morderstwo, popełnione przed lub po upływie wyszczególnionego terminu, podobnie jak morderstwo, popełnione w chęci zysku, albo połączone z gwałtem nad kobietą, będzie traktowane jako przestępstwo kryminalne i karane zgodnie z istniejącymi prawami. Moskwa, Kreml, Przewodniczący Prezydium Najwyższej...

Następnie głośnik zapowiedział:

— W dalszym ciągu transmitujemy koncert lekkiej muzyki...

Staliśmy, spoglądając jedno na drugie w zupełnym osłupieniu.

— Dziwne — powiedziałem. — Bardzo dziwne. Nie rozumiem, w jakim celu.

— Wyjaśnią — odezwała się Zoja — Nie może być żeby gazety nie podały wyjaśnienia.

— Towarzysze, to prowokacja! — Igor zaczął miotać się po pokoju, w poszukiwaniu koszuli. — To prowokacja. To „Głos Ameryki”, który włączył się na naszą falę.

Skakał na jednej nodze, wciągając spodnie.

— Och, przepraszam! — wyskoczył na taras i tam zaplął rozporek. Nikt nawet nie uśmiechnął się.

— „Głos Ameryki”? — w zamyśleniu powtórzył Włodek. — Nie, to niemożliwe. Technicznie niemożliwe. Przecież w tej chwili — spojrzał na zegarek — pół do dziesiątej. Nadają audycje. Gdyby nadawali na naszej fali, byłoby słychać i jednych i drugich...

Znowu wyszliśmy na zewnątrz. Na tarasach sąsiednich willi zjawiali się na pół rozebrani ludzie. Zbijali się w gromadki, wzruszali ramionami i robili nonsensowne gesty.

Zoja zapaliła nareszcie swego papierosa. Usiadła na stopniu, oparła się łokciami o kolana. Patrzyłem na jej obciśnięte kostiumem kąpielowym biodra, na piersi, widniejące do połowy w głębokim dekolcie. Pomimo dość obfitych kształtów była bardzo ładna. Ładniejsza od wszystkich pozostałych kobiet. Jej twarz była, jak zwykle, spokojna i nieco senna. Za oczami nazywano ją „madame Flegma”.

Igor stał pośród nas całkowicie ubrany, niby misjonarz między Polinezyjczykami. Po usłyszeniu kategorycznego oświadczenia Włodka, że wiadomości radiowej nie można przypisać sztuczkom zaoceanicznych gangsterów, Igor spokorniał. Najwidoczniej, już żałował, że tak zdecydowanie uznał audycję za prowokację. Pomyślałem jednak, że prze-

straszył się niepotrzebnie: donosiciele wśród nas raczej chyba nie było.

— A właściwie, dlaczegośmy się tak spłoszyli? — powiedział dziarskim tonem. — Zoja ma rację: będą jakieś wyjaśnienia. A ty, Tolku, co o tym myślisz?

— A diabli wiedzą... — wymamrotałem. — Jeszcze prawie miesiąc do tego, jakże to powiedzieli? — dnia jawnych...

Zaciąłem się. I znowu patrzyliśmy na siebie ze zdumionym zakłopotaniem.

— Wszystko jedno — Igor potrząsnął głową. — Myślę, że to chyba w związku z międzynarodową polityką.

— W związku z wyborami prezydenta w Ameryce? Igor, o tym myślałeś?

— Och, Lilka, już byś lepiej milczała! Pleciesz jakieś bzdury!

— Chodźmy kąpać się — powiedziała Zoja, podnosząc się. — Tolek, przynieś mi mój gumowy czepek.

Najwidoczniej, ta cała niezrozumiała historia nawet ją zbiła z pantałyku, gdyż w przeciwnym razie nie zwróciłaby się do mnie przy wszystkich per „ty”. Ale, zdaje się, i tak nikt tego nie zauważył.

— Kiedyśmy szli ku rzeczce, Włodek dogonił mnie, wziął pod rękę i powiedział, z żalością w swoich biblijnych oczach:

— Wiesz co, Tolek, zdaje mi się, że to coś na konto Żydów wymyślili...

II

*Któż by wytrzymał, któż by zniósł to,
gdyby nie było wśród nas
najrozmaitszych masek mnóstwa,
na każdy dzień, na każdy czas?
Wybieraj którąkolwiek z twarzy,
przemawiaj coraz innym tonem,
bądź za poetę, za windziarza,
wołaj o bilet, lecz uważaj:
„Bez maski wejście zabronione”.*

Ilja Czur „Bilety do sprzedania”

Więc piszę to wszystko i rozmyślam: a właściwie, po co mi robienie tych notatek? Ogłosić ich u nas nigdy się

nie uda, nawet nie ma komu pokazać, przeczytać. Przemycić zagranicę? Po pierwsze, w praktyce jest to nie do zrealizowania, a po drugie, to, o czym zamierzam pisać, już opowiedziano w setkach zagranicznych gazet, radio też na ten temat barłóżyło po całych dniach i nocach; nie, oni to już dawno obcmoktali ze wszystkich stron. A i, prawdę powiedziawszy, niezbyt to ładne — ogłaszać w antysowieckich wydawnictwach.

Udaję przed samym sobą. Wiem, po co to piszę. Muszę sam sobie zdać sprawę, że to jednak rzeczywiście się stało. A najważniejsze, co stało się ze mną? Oto siedzę za swoim biurkiem. Mam trzydzieści pięć lat. Jak dawniej, pracuję w tym idiotycznym, handlowym wydawnictwie. Mój wygląd zewnętrzny nie uległ zmianie. Również nie zmieniły się zamiłowania. Jak dawniej, lubię wiersze. Lubię popić. Lubię baby. I one, na ogół, także mnie lubią. Swego czasu byłem na wojnie. Zabijałem. A i mnie o mało co nie zabili. Gdy któraś z kobiet nagle dotknie blizny na moim biodrze, cofa dłoń i wykrzykuje szeptem: „Aj, co to jest?”. „To rana — odpowiadam — od eksplodującej kuli”. „Biedaku — mówią kobiety — bardzo cię bolało?”. A w ogóle, wszystko, jak dawniej. Każdy znajomy, każdy przyjaciel, czy kolega biurowy mógłby powiedzieć: „Wiesz, Tolek, nic a nic się nie zmieniasz!”. Ale ja wiem, dobrze wiem, że tamten dzień chwycił mnie za kołnierz i postawił twarzą w twarz z samym sobą! Wiem, że wypadło mi samego siebie poznawać na nowo!

Ach, i jeszcze jedno. Nie jestem pisarzem. We wczesnej młodości pisywałem wiersze, a i teraz okazynie potrafię; napisałem kilka teatralnych recenzji — myślałem, że w ten sposób przedostanę się do literatury, ale nic z tego nie wyszło. I mimo wszystko — piszę. Nie, nie jestem grafomanem. Grafomani (często mam z nimi do czynienia, z racji mojej pracy doradcy literackiego), grafomani wierzą w swój geniusz, a ja zdaję sobie sprawę, że nie mam talentu. A jeśli mam, to niewielki. Jednak ogromnie lubię pisać. Co najlepsze, najprzyjemniejsze w mojej sytuacji? Wiem z góry, że nikt tego nie przeczyta i mogę pisać bez obawy, wszystko, co tylko przyjdzie do głowy! Zechce mi się napisać:

*A czarnej Afryki fortepian
wyszczersza zęby po murzyńsku...*

więc napiszę! I nikt mnie nie oskarży ani o pretensjonalność, ani o kolonializm. Zechce mi się napisać, że rząd to sami demagodzy, obłudnicy i w ogóle ścierva — także i to napiszę... Mogę sobie pozwolić na taki luksus — być komunistą sam ze sobą.

Lecz jeśli mam być szczery całkowicie, wyrażę nadzieję, że jednak znajdę kiedyś czytelników — naturalnie, nie teraz, po wielu-wielu latach, gdy mnie już nie będzie na świecie. Powiedzmy sobie ogólnie — „kiedyś po latach mnich pracowity odczyta moją pracę, gorliwą, bezimienną...”. Sama myśl o tym sprawia przyjemność.

Tak więc, gdy obecnie otworzyłem całkowicie moje serce przed ewentualnym, w wyobraźni stworzonym czytelnikiem, mogę kontynuować.

Zabawy owego dnia już nie było. Dowcipy wypadały nudnie, graliśmy w piłkę bez zapału, pić w ogóle nikt nie chciał i wróciliśmy do naszych domów bardzo wcześnie.

Następnego dnia, już w Moskwie, poszedłem do pracy. Z góry wiedziałem, że będzie nieunikniona paplanina o dekreście, wiedziałem, kto będzie wydawać opinię, a kto zmilczy. Ku memu zdziwieniu milczeli prawie wszyscy. Dwie, czy też trzy osoby zapytały mnie: „Co o tym wszystkim sądzicie?”. Wybąkałem coś w rodzaju: „Nie wiem... Zobaczysz się z czasem...” — i rozmowa na tym urwała się.

Nazajutrz w „Izwestjach” ukazał się duży wstępny artykuł, pod tytułem „Na spotkanie dnia jawnych morderstw”. Było w nim bardzo niewiele o istocie zarządzenia, a za to powtarzała się zwykła gadanina: „Rosnący dobrobyt — siedmiomilowym krokiem — prawdziwa demokracja — jedynie w naszym kraju — wszystkie myśli — po raz pierwszy w dziejach — widniejące zarysy — burżuazyjna prasa...”. Artykuł zapowiadał ponadto, że nie wolno będzie działać na szkodę ludowego mienia, wobec czego zabronione są akty podpalania i wysadzania w powietrze. Ponadto, dekret nie dotyczył więźniów. No, więc tak. Wszyscy czytali ten artykuł od deski do deski, nikt, jak przedtem, niczego nie rozumiał, a jednak wszyscy, nie wiadomo czemu, od razu uspokoili się. Prawdopodobnie, sam styl artykułu — uroczysty, jak zawsze, górnolotny, jak na co dzień — przyniósł uspokojenie. Nic nadzwyczajnego: „Dzień artylerii”, „Dzień sowieckiej prasy”, „Dzień jawnych morderstw”... Transport będzie czynny, do milicji zabierać się nie kazano — to znaczy, że porządek zostanie zachowany. I wszystko weszło w zwykłe tryby.

Tak minął tydzień, półtora. I właśnie wtedy zaczęło się coś takiego, co nawet trudno określić słowami. Jakiś niepokój, wrzenie, jakiś dziwaczny stan. Nie, nie mogę znaleźć właściwego określenia! Wszyscy jakoś zaczęli krzątać się i uwijać. W metrze, w kinach, na ulicach ci i owi podchodzili do innych ludzi i, z przypochlebnym uśmiechem, zaczęli mówić o swoich chorobach, o rybołóstwie, o jakości kapronowych pończoch — jednym słowem, o czym chcecie. A jeśli im natychmiast nie przerwano rozmowy i słuchano, wtedy długo ściskali rozmówcy dłoń, spoglądając w oczy z głęboką wdzięcznością. Niektórzy zaś — zwłaszcza młodzież — zaczęli zachowywać się krzykliwie i napastliwie; każdy wygłupiał się na swój sposób; częściej niż zazwyczaj śpiewano na ulicy i wykrzykiwano wiersze, zwłaszcza Jesienina. I à propos wierszy. Czasopismo „Literatura i życie” ogłosiło wybór wierszowanych utworów, związanych ze zbliżającym się wydarzeniem — Bezymienskiego, Michałkowa, Sofronowa i innych. Niestety, nie mogłem teraz odszukać tego numeru pisma, mimo wielkich starań, ale fragment wiersza Sofronowa utrwalił się w pamięci:

*Warsztatów huk Rostselmasza,
syreny głośniejsze i wyżej,
i Partia wspaniała nasza
trockistów brała za pirze.*

*Byłem zupełnym smarkaczem,
zaledwie lat siedemnaście,
nie mogłem wiedzieć, co znaczy,
że Partia wrogów swych maści.*

*Śpiewałem coraz to śmieiej,
lecz wiersze nie rosły w siłę:
nie wykończyłem z nich wielu
i dobić nie potrafiłem.*

Opowiadano kawały w zupełnie astronomicznych ilościach; Włodek Margulis biegał od jednego przyjaciela do drugiego i opowiadał je, zachłystując się. Któregoś dnia, po wyczerpaniu całego zapasu tych kawałów, poinformował mnie, że na jakimś zebraniu w swojej akademii Igor miał oświadczyć, iż dzień 10 sierpnia wynika z mądrej polityki naszej partii, że dekret stanowi jeszcze jeden argument na

rzecz rozwijania twórczej inicjatywy ludowych mas — i tak dalej, w zwykłym sensie.

— Wiesz, Tolek — powiedział mi — chociaż wiedziałem, że Igor jest karierowiczem i w ogóle, to jednak czegoś takiego po nim nie spodziewałem się.

— Niby dlaczego? — zapytałem. — Cóż w tym dziwnego? Kazali mu przemawiać, więc przemówił. Gdybyś należał do partii, jak Igor, także byś przemawiał na całego.

— Ja? Nigdy! Po pierwsze, za żadne skarby nie zapiszę się do partii, a po drugie...

— Po drugie, po drugie! Nie drzyj się! Nie jesteś lepszy od Igora. Kiedy wyskoczyła sprawa lekarzy, może nie plotłeś w swojej szkole na temat nacjonalizmu?

Powiedziałem i od razu pożałowałem. To był jego obojętny odcisk. Nigdy nie mógł sobie darować, że wówczas uwierzył na jakiś czas gazetom.

— Opowiedz lepiej, jak idą sprawy z Ninką — powiedziałem pojedynczo. — Kiedy ją widziałeś?

Włodek ożywił się.

— Zrozum, Tolek, no, trudno, ja ją kocham, trudno! Dzwonię do niej wczoraj, powiadam, że chcę się z nią zobaczyć, a ona mi odpowiada...

Włodek zaczął szczegółowo mówić, co mu odpowiedziała, co on jej powiedział, co oboje powiedzieli.

— Rozumiesz, Tolek, ty mnie znasz, nie jestem sentymentalnym człowiekiem, a jednak nieomal zacząłem ryć...

Słuchałem, zastanawiając się, że też ludzie potrafią stwarzać zagadnienia w zupełnej pustce. Włodek ma żonę i dwoje dzieci, wykłada w szkole literaturę, uważany jest za najlepszego metodyka w okręgu i, w ogóle, za rozumnego chłopca. Ale te jego romanse! Oczywiście, żona — wydra, jak się ma taką żonę, to na każdą babę wskoczysz. No, więc wskakuj na zdrowie! Ale po co te wszystkie przeżycia, te namiętności afrykańskie, ten cały prowincjonalny hamletyzm? A jakie przy tym zwroty: „moralne zobowiązania”, „rozdwojenie duchowe”, „ona ma do mnie zaufanie”... Co prawda, owe „ma do mnie zaufanie” dotyczy równie dobrze żony, jak każdej kolejnej flamy. Osobiście, widzę te sprawy o wiele prościej. Od samego początku żadnych gier, żadnej dyplomacji, żadnych zobowiązań. Stawiać sprawę uczciwie. Podobamy się sobie nawzajem? To świetnie. Pragniemy siebie nawzajem? Cudownie, coś

tam jeszcze? Że niby małżeńska zdrada, cudzołóstwo! No, to co? Jeżeli ożenię się, nie pozwolę, żeby mnie męczyły włódkowe problemy, po prostu będę z góry uprzedzać: „Wiecie, jestem żonaty, rozwodzić się nie zamierzam, ale cholernie mi się podobać. Czy to wam odpowiada? Wspólnie, kiedy i gdzie się spotkamy? Nie odpowiada? Bardzo żałuję, do widzenia, proszę jednak zastanowić się...”. Tylko tak. No, rozumie się, nie w takiej prymitywnej formie. Myślę, że to o wiele lepiej, niż zawracać gitarę na temat braku duchowej harmonii w małżeństwie, albo że „naturalnie, bardzo szanuję moją żonę, ale...”. Nigdy jeszcze nie wyrządziłem poważnej krzywdy żadnej kobiecie, a to dlatego, że nie dopuszczałem, aby sobie tworzyły złudzenia na moje konto...

Włodek gadał jeszcze jakieś pół godziny o swojej skomplikowanej miłości i poszedł. Odprowadziłem go, ale natychmiast zadzwonił znowu, wsunął głowę w uchylone drzwi i powiedział szeptem, żeby nikt z sąsiadów nie usłyszał:

— Tolek, jeżeli 10 sierpnia urządzi żydowski pogrom, będę się bił. Tu nie Babi Jar i nie Fabryka Traktorów. Ja sam do nich, ścierwów, będę strzelać. Patrz!

Rozpiął marynarkę i pokazał kolbę oficerskiego TT, sterczącą z wewnętrznej kieszeni. Zachował go z wojennych lat.

— Za tanioczę to już oni mnie nie wezmą...

Gdy poszedł definitywnie, długo stałem na środku pokoju.

I któż to są „o n i”?

III

*Nie, Alkinoju, mylisz się: jest nieskończoność w naturze,
a świadczy o tym najlepiej ludzka głupota i podłość.*

Kiriłł Zamojskij „Doświadczenie i nauki”

— Ach, Tolek, po prostu nie chcecie rozumować poważnie! Proszę zrozumieć taką prostą rzecz...

Współlokator mydlił wiechciem brudne naczynia; brzuch, zarośnięty siwymi włosami, mocno opięty siatkową koszul-

ką, wylewał się ze spodni, kładąc się na brzegu zlewu. Był niezmiernie rozgorączkowany, chociaż nie przeczyłem ani jednym słowem.

— ...Nie, nie, proszę zrozumieć mnie właściwie! Już kto jak kto, a ja nie jestem zwolennikiem prasowych szablonów. Jednak fakty są faktami i trzeba umieć spoglądać im w oczy: nie ulega wątpliwości, że uświadomienie znacznie wzrosło; Ergo: państwo ma prawo zdobyć się na daleko posunięty eksperyment, ma prawo przekazać swoje poszczególne funkcje w ręce ludu! Proszę spojrzeć — brygady współpracujących z milicją, patrole komсомолców, ludowe drużyny dla ochrony społecznego porządku — to przecież fakt! I to fakt wiele znaczący. Rozumie się, zdarzają się u nich błędy, lapsusy, że tak powiem, — to komuś zbyt wąskie spodnie pocięli, to znowu jakimś dziewczom głowy ostrzygli — no, ale bez tego nie można! Koszty produkcji! Las wyrąbują! Więc też obecny dekret nie jest niczym innym, tylko logicznym przedłużeniem rozpoczętego uprzednio procesu — procesu demokratyzacji. Demokratyzacji czego? Demokratyzacji organów władzy wykonawczej. Ideał polega — proszę mnie tylko właściwie zrozumieć — na stopniowym rozpuszczeniu się władzy wykonawczej w szerokich ludowych masach, w samych, że tak powiem, społecznych dołach. Nie, nie w dołach, niewłaściwie się wyraziłem, żadnych dołów u nas nie ma, no, na pewno mnie rozumiecie... Proszę mi uwierzyć na słowo starego prawnika: nasz lud przede wszystkim porachuje się z chuliganami, z darmożadami, z wyrzutkami społecznymi... Tak, tak, pamiętacie, jak Tolstoj napisał: „Całą gromadą chcą zwalić się! Za jednym zamachem kres położyć!” Tak właśnie, Tolku, — „całą gromadą”, wspólnotą, kupą, że tak powiem, po rosyjsku!...

Czekałem z niecierpliwością, kiedy wypuści z rąk śliski talerz. Istotnie, wreszcie go rozbił. Zwabiona hałasem, z pokoju wypłynęła jego żona, z niezadowoleniem popatrzyła na szczątki i powiedziała spokojnym głosem:

— Piotr, chodź do pokoju.

„Widać, durniu — pomyślałem — za krótko ciebie w łagrze trzymali”.

Rozległ się dzwonek, więc poszedłem otworzyć.

Weszła Zoja.

Udaliśmy się do mojego pokoju. Z westchnieniem ulgi Zoja rzuciła pantofle. Lubię przyglądać się, gdy kobiety

zdejmują pantofelki: kształt nogi zmienia się, jej zarys od razu staje się intymny, domowy, jakiś taki prostoduszny.

— Zupełnie jakbyś była w białych trepkach — powiedziałem, wskazując na jej nieopalone stopy. — Pokaż, gdzie jeszcze jesteś biała.

— Chciałam z tobą pomówić — odpowiedziała Zoja.

— No, nic, pomówimy później...

Objąłem ją.

— Zamknij drzwi.

...Leżeliśmy obok siebie, nieco odsunięci jedno od drugiego. Pomimo upału, skóra Zoji była chłodnawa: jasnobrązowe ciało przepasywały trzy białe wstążki: na pierśsiach, biodrach i stopach. Leżała obok, rozrzucona z całą bezwstydną swobodą, piękna i okazała, jak cyrkwiec na arenie, a ja czułem, że jestem w niej bardzo zakochany. Miałem chęć z taką samą bezwstydną swobodą łypnąć okiem do kogoś, do jakiegoś wyimaginowanego obserwatora i, być może, współnika, i powiedzieć: „Popatrz no, przyjacielu, co za kobieta mi przypadła w udziale!”. Leżałem rozmyślając, że wszystko, co dzieje się między nami, to właśnie jest prawdziwym „życiem”: walka, podbój, wzajemna kapitulacja, potwierdzenie i zapalczywe przeczenie, przejmujące odczucie samego siebie i całkowite zatracenie się, obcość i zupełna łączność — i to wszystko razem, wszystko jednocześnie. Było mi w tej chwili obojętne, że nie ja jeden posiadam to sprawne, pokorne, nieustannie pożądaną ciało, że ma męża, który ją pieści pełnoprawnie, że po miesiącu wraca z wakacji moja siostra i Zoja już nie będzie mogła do mnie przychodzić, że znowu nam wypadnie, jak bezdomnym kotom, włóczyć się po różnych bramach i strychach, że znowu będzie mnie zadziwiać, a nawet nieco szokować jej umiejętność oddawania się w najmniej właściwych okolicznościach i że znowu będę jej niezmiernie za to wdzięczny. Ale w owej chwili wszystko to było mi najzupełniej obojętne. Leżałem i czekałem, aż przemówi.

I wreszcie przemówiła.

— Tolek — powiedziała Zoja. Wkrótce „Dzień jawnych morderstw”.

Wypowiedziała te słowa tak zwyczajnie i rzeczowo, jak gdyby chodziło o stwierdzenie, że „wkrótce Nowy Rok”, albo „wkrótce majowe święta”.

— No, to co? — zapytałem. — Co to ma wspólnego z nami?

— A czy tobie — zapytała Zoja — nie znudziło się to ciągle ukrywanie? Przecież wszystko możemy zmienić.

— Nie rozumiem — wymamrotałem. Ale to było kłamstwo — już wiedziałem o co chodzi.

— Wiesz co.. zamordujmy Pawełka.

Tak właśnie powiedziała: „Pawełka”. Nie „męża”, nie „Pawła”, a właśnie „Pawełka”. Poczułem, że mi drętwieją wargi.

— Zoja, czyś ty oszalałaś? Co ty mówisz?

Powoli zwróciła się do mnie twarzą i potarła policzek o moje ramię.

— Toleczku, tylko proszę cię, nie denerwuj się. Pomyśl-no spokojnie. Przecież drugiej takiej okazji nie będzie. Ja już wszystko obmyśliłam. Przyjdiesz do nas poprzedniego dnia. Powiesz, że chcesz spędzić całą dobę z nami. Pawełek i ja postanowiliśmy tego dnia w ogóle z mieszkania nie wychodzić. I załatwimy go we dwójkę. A potem sprowadzisz się do mnie i pobierzemy się. Ja bym ciebie w to wszystko nie wplątywała, sama bym wszystko zrobiła, ale boję się, że nie dam rady.

Mówiła, a ja leżałem i słuchałem, i za każdym jej słowem chwytamy mnie za krtani paroksyzmy duszności.

— Tolek, dlaczego milczysz?

Odkaszniałem i powiedziałem:

— Wyjdź stąd!

Zoja nie zrozumiała.

— Dokąd?

— Do diabła!

Przez kilka chwil Zoja patrzyła mi w oczy, potem wstała i zaczęła ubierać się. Włożyła staniczek, majteczki, potem kombinezkę. Przyglądałem się, jak stopniowo znika pod ubraniem. Narzuciła sukienkę, wsunęła stopy w pantofelki, zaczęła się czesać.

Uczesała się, wzięła torebkę, otworzyła drzwi. Na progu odwróciła się i powiedziała cichym głosem:

— Ciepły klusek.

I poszła. Zaraz rozległo się trzaśnięcie wyjściowych drzwi.

Wstałem, ubrałem się. Starannie zaścieliłem rozrzucone łóżko. Zamiotłem pokój. Zrobiłem wiele ruchów, koncentrując się na wykonywaniu każdego z nich. Nie miałem najmniejszej chęci myśleć i zastanawiać się.

*I już nienawiści zbyt wiele,
aż w gardle mnie dusi i świszcze:
— Och, gdybyż tych wszystkich skurwieli
pobierać do kupy i zniszczyć!*

Gieorgij Bołotin „Trąby epoki”

A jednak wypadło zastanowić się. Być może, to głupota, a jednak najbardziej mnie oszołomiły te dwa słowa, rzucone przez Zoję — „ciepły klusek”; przecież nie jestem tchórzem, wiem o tym dobrze, przekonałem się na froncie, a zresztą i po wojnie zdarzały się różne okazje. Zoja zaś doszła do przekonania, że stchórzyłem. Ależ nie, żadne tchórzostwo, po prostu to coś niesamowitego: ot, tak, jakby nic, zabić Pawełka, pokornego, godzącego się z losem, łagodnego, nie orientującego się w niczym Pawełka. Pewnie, oszukiwaliśmy go; gdyby dowiedział się o naszym związku, to by mu na pewno sprawiło cierpienie; piliśmy za jego pieniądze, kpiliśmy z niego w oczy i za oczami; to wszystko prawda — ale zabić? Za co? I po co? Przecież jeśli już tak sprawę postawić, jeśli chodzi jej tylko o to, żeby wyjść za mnie, to mogłaby się rozwieść! To znaczy... znaczy, morderstwo to dla niej nie tylko sposób na pozbycie się niekochanego, starszawego i głupkowatego męża? Widocznie, morderstwo zawiera dla niej jakiś niezrozumiały dla mnie sens? Być może, nienawidzi go, pragnie zemsty? Naturalnie, mści się za to, że swego czasu, mając dziewiętnaście lat, zakochała się w nim, a ten jedynie potrafi powtarzać: „Technika na granicy fantazji”, „Klucz od pokoju z pieniędzmi” — i jeszcze wciąż opowiada żydowskie i ormiańskie kawały... Tak, ona musi go nienawidzić. A jeśli nienawidzi, to, rozumie się, jest w stanie zamordować. To rozumiem. Nienawiść uprawnia do morderstwa. Na tle nienawiści i sam mógłbym... Mógłbym? Niewątpliwie, mógłbym. Kogo ja właściwie nienawidzę? Kogo nienawidziłem przez całe życie? Szkolne czasy, rzecz prosta, nie liczą się, a jak w dojrzałym wieku? Instytut. Nienawidziłem jednego z wykładowców, który umyślnie, cztery razy pod rząd, ściał mnie na kolokwium. Wszystko jedno, niech go wszyscy diabli, to było już tak dawno! Zwierzchnicy różnej maści, z którymi zdarzało się pracować. Tak, to byli szu-

brawcy i napsuli mi dużo krwi. Mordy by im, ścierwom, porozbijać! Któż jeszcze! Literat K., pisujący czarnosecinne powieści. Tak, tak, pamiętam, kiedyś mówiłem, że zamordowałbym go, gdybym wiedział, że nic mi się za to nie stanie. O, tego łotra warto by rozumu nauczyć! I to tak, żeby więcej nie wziął pióra do ręki... No, a ci wszyscy, o spasionych pyskach, obradujący i przewodniczący, władcy naszych losów, nasi wodzowie i nauczyciele, wierni synowie ludu, otrzymujący powitalne depesze od kołchoźników Riazńskiego Obwodu, od hutników z Krzywego Rogu, od cesarza Etiopii, od zjazdu nauczycieli, od prezydenta Stanów Zjednoczonych, od personelu publicznych klozetów? Najlepsi przyjaciele sowieckich sportowców, pisarzy, tkaczy, daltonistów i umysłowo chorych? Co z nimi zrobić? Czyżby przebaczyć? A trzydziesty siódmy rok? A szaleństwo powojenne, gdy cały kraj, jak nawiedzony przez szatana, rzucał się w epileptycznym ataku, w histerii, i pożerał sam siebie? Myślą, że jak raz napaskudzili na grobie Wąsatego, to już wszystko jak z gęsi woda? Nie. Nie, nie, z nimi trzeba inaczej: pamiętasz jeszcze, jak to się robi? Zapłon. Oderwać bezpiecznik. Rzucić. Padnij na ziemię. Padnij! Wybuch. A teraz — skokiem naprzód. I w biegu — pociągnąć szeroko od biodra. Seria. Seria. Seria! O, tam leżą, poszarpani wybuchem, posiekani kulami. Ślisko. Nogi ślizgają się. Kto to? Pełźnie, wlekąc za sobą kieszki po posadzce, zasypanej sztukaterią. Ach, to ten, obwieszony orderami, co zawsze towarzyszy Naczelnemu w podróży! Ale dlaczego taki chudy? Dlaczego ma na sobie waciak? Widziałem go już kiedyś pełznącego wzdłuż rowu, wywalającego w kurz siność i czerwień swego brzucha. A ci? Ich także widziałem! Tylko, że wówczas mieli pasy z literami „Gott mit uns” na klamrach, czapki z czerwonymi gwiazdami, buty o niskim podbiciu, bij prosto w oczy, owijające, furażerki, Rosjanie, Niemcy, Gruzini, Rumuni, Żydzi, Węgrzy, buszłaty, plakaty, deputaty, łopaty, przez trupa przeszedł jeden samochód, dwa samochody, osiem samochodów, czterdzieści samochodów, a ty pozostaniesz w pozycji leżącej, rozpląszczony jak żaba — i wszystko to stało się już dawno!

Podniosłem się z łóżka, podszedłem do okna i obtarłem firanką zalaną potem twarz. Udałem się do kuchni, obmyłem się pod zlewem i włożyłem marynarkę. Pozostawać w domu dłużej już nie mogłem.

Szedłem przez ulicę, rozpaloną sierpniowym słońcem; na

przeciw szły gospodynie z siatkami na zakupy, szczeniaki hałasowały na rowerach, podtatusiali mężczyźni wlekli się chodnikami, zatrzymując się przy każdym kiosku z sodową wodą. Znalazłem się na rogu Arbatu i ulicy Smoleńskiej, i zatrzymałem się. Żeby chociaż kogoś odwiedzić. Ale kogo? Lato, wszyscy wyjechali na wakacje. A kto nie wyjechał na wakacje, ten siedzi w Srebrnym Borze, albo w innym miejscu, gdzie można wykąpać się. I dobrze byłoby gołnać. Przypomniałem sobie, że niedaleko, w pobliżu Kijowskiego dworca, mieszka Szasza Czuprow, artysta i mój przyjaciel, Jeśli nawet nie zastanę go w domu, będzie można odpocząć: drzwi jego pokoju zawsze były otwarte.

Wpadłem do spożywczego magazynu na najbliższym rogu i wlokłem się z działu do działu, w poszukiwaniu sekcji alkoholowej. Podchodziłem do każdej lady i przyglądałem się pracy ekspedientów. W swoich sklepowych ubraniach, wszyscy byli podobni do siebie, ale zachowywali się inaczej: rzeczowo i solidnie w dziale z wędlinami, obojętnie i pysznie — w owocowym, usługiwali i kokieterystycznie — w cukierniczym, nonsensownie i po bałaganiarsku w dziale towarów kolonialnych. W dziale z wódkami, do którego wreszcie dojrzałem, ekspedienty zachowywali się wyrozumiale i z lekką poufałością. Przyglądałem się ruchomemu stożkowi z ustawionych butelek, piętrzących się obok kolumny. To była prawdziwa skarbnica emocji wszelkiego rodzaju. Zamknięta w butelce, zatrzęsnięta u góry lakową pieczęcią, każda emocja miała swoją przypadkową etykietkę: „Koniak”, „Stołeczna”, „Gurdżani”, a w rzeczywistości do tych butelek zapędzili melancholię, wesołość, niepohamowany gniew, wzruszającą ufność, obraźliwość i odwagę. Wszystkie te emocje miały wyjść ze swoich szklanych więzień, wysłuchiwać głupich, pożegnalnych toastów i wzbierać w rękach, ściągających serwety, w ustach, całujących się nieumyślnie, w płucach, które nabierają jak najwięcej powietrza, aby w należyty sposób wykonać „Wieczory pod Moskwą”. „Czas pracuje dla nas — myślały emocje, połyskując różnobarwnie w świetle elektryczności — słuszność jest po naszej stronie, także i na naszej ulicy będzie święto...”.

Kupiłem butelkę koniaku (gruzińskiego, na lepszy nie starczyło pieniędzy), cytrynę i wyszedłem z magazynu.

Czuprowa zastałem w domu.

— To ty, staruszk — powiedział ponuro. — Właż...

W obszernym, jasnym pokoju panował niesamowity bałagan. Na podłodze leżał byle jak otwarty szkicownik, na

stole, pod stołem, na parapetach okien zwinięte rulony papieru. Gospodarz kręcił się w ubraniu na pościeli, lokując nogi na oparciu łóżka.

— Co u ciebie? — zapytałem.

— Ścierwa — odpowiedział. — Pracowałem, tyrałem i wszystko psu pod ogon.

— Nad czym pracowałeś?

— Wiadomo nad czym — plakaty.

Czuprow malował nowatorskie obrazy i w liberalnych kołach cieszył się opinią awangardzisty. Ale sprzedawać płócien, napiętnowanych rozkładowym wpływem Zachodu, nie było komu, z cudzoziemcami nawiązywać kontakty obawiał się, zaś bez żarcia obejść się nie można. Wobec tego malował plakaty: dziewczęta z rozjaśnionymi twarzami na tle krem-łowskich murów, górników w pełnym kopalnianym rynsztunku idących pewnym krokiem ku jasnej przyszłości, młodych inżynierów w kombinezonach, z cyrklami sterczącymi z kieszeni na piersi, i z „Historią KPZS” pod pachą. Płacono mu pierwszorzędnie, chociaż nieregularnie.

— Co, nie przyjęli pracy? — zapytałem. — A cóż to, nie podpisałeś umowy?

— W tym właśnie rzecz, że nie podpisałem. Pomyślałem, że nie będą mieli z czego wybierać, i postanowiłem przy takiej okazji zaryzykować. Po nowatorsku zrobiłem, na swój własny swobodny sposób. Wyobrażasz sobie? Przy-
noszę, a ci...

— Zaczekaj, przy jakiej okazji?

— Cóż ty, z księżycą spadłeś? Z okazji Dnia jawnych morderstw. Bez plakatów nie obejdą się, co? Posłuchaj, nie przerywaj. Więc przynoszę, a trzeba ci wiedzieć, że kierownik to rutyniarz, akademik, tylko mycki do kompletu mu brakuje. „Wy — powiada — Czuprow, zwróciliście się pod niewłaściwym adresem; taka — powiada — produkcja może w „Life” by się podobała, ale nam całkowicie nie odpowiada”. I dopiero jak zaczął! „Wydarzenie w życiu kraju... partia nas nastawia... wielkie idee żądają czujnego uzmysłowienia... żeby dawało natchnienie... żeby przyzywało... popatrzcie na to...”. I pokazuje mi plakat Artemjewa i Kranca. Możesz mi uwierzyć, stary, spojrzeć nie ma na co! Mówię tak nie dlatego, że mój plakat odrzucili, a ich przyjęli, wiesz przecież, jaki jest mój stosunek do tej pracy. To dla mnie koryto i nic więcej. Ale przecież trzeba mieć choćby odrobinę sumienia! Jak już coś robisz, to rób solidnie! Nie fuseruj! Wytęż się! A ci, gówniarze, napacyko-

wali jakieś manekiny — nie wiadomo, gdzie żywi, gdzie truposze — wieżowy żuraw kropnęli na drugim planie — i sprawa skończona, cieszcie się, malowniczy plakat! Ostatecznie, forse mam gdzieś, dość nachapałem się na Pierwszym Maju, ale pracy mi szkoda, i d e i mi szkoda! Kiedyż narzeczcie u nas rozumieją, że to połowa XX w., że sztuka powinna poruszać się na nowych... na nowych... m-m-m... tempach, czy jak?

Czuprow wyrzucił to wszystko z siebie jednym tchem i zaklął w matkę; spopielony koniec papierosa złamał się i upadł na poduszkę.

— Słuchaj, Sasza — powiedziałem ostrożnie — a ten twój odrzucony plakat. Można go obejrzeć?

— Oczywiście! Patrz — leży tam, pod ścianą.

Zrobiłem wolne miejsce na podłodze i rozwinąłem rułon.

Na tle olbrzymiego, nie wiadomo, wschodzącego czy zachodzącego słońca stał konwencjonalny młodzieniec obok dziewczęcia; słońce biło im w plecy i czerwone cienie ich postaci kładły się na skos; na dole, z lewej strony cienie łączyły się z czerwono-czarną kałużą, podciekającą pod narożnik konwencjonalnego domu; po prawej stronie leżał trup z podniesionym kolaniem i rozrzuconymi rękami.

— I co? — zapytał Sasza.

Zastanowiłem się i powiedziałem:

— Mnóstwo ekspresji.

Niczym nie ryzykowałem: wiedziałem na pewno, że Sasza nigdy nie czytał Huxleya.

— Prawda? — upewniał się Sasza.

— Tak — kontynuowałem — ale wydaje się, że trup jest zbyt jaskrawy, wyskakuje z całości.

Sasza zeskoczył z łóżka i, wydawszy wargi, patrzył na swoje dzieło.

— Może i masz rację, stary — odpowiedział. — A wiesz, dlaczego? Należało go namalować bardziej konwencjonalnie, nie tak realistycznie, prawdziwie, czy co...

Piliśmy koniak. Sasza zwierzał się ze swoich pomysłów, słuchałem i myślałem, że wszystkiemu winna jest Zoja, że gdyby nie ona, do głowy by mi nie przyszło, żeby zastanawiać się nad tym przeklętym Dniem morderstw. Co mnie to obchodzi? Po kiego diabła... A niech to jasny szlag trafi! Zojka jest suką. Trzeba powiedzieć Pawełkowi. Chciaż nie, teraz już nie ma potrzeby. Teraz, kiedy odmówiłem, będzie się bała. Suka, morderczyni. Wszystko szło doskonale, było

nam ze sobą tak dobrze, ale teraz nawet jej nie dotknę. A i sama nie pozwoli. To przez nią, jedynie przez nią muszę tu siedzieć i wysłuchiwać pijackich zwierzeń Czuprowa. Niezależny, awangardzista! Niech jutro ogłosią Dzień pederastry, natychmiast chwyci pędzle do ręki. Wyrysuje wzrost homoseksualizmu w zestawieniu z 1913 rokiem. A ja już nie chcę nikogo zabijać. Nie chcę!

— Czego nie chcesz? — zapytał Czuprow.

— Nie chcę więcej pić.

— Przecież już nic do picia nie ma. A właściwie, dla czego nie chcesz pić? Akurat teraz. Zaczekaj, pójdę po butelczynę... Albo wiesz co — jeśli chcesz, poznam cię z jednym facetem, starszy gość, chcesz? Ależ starzec! Wiersze pisuje. Jazda, jadziem, wdzięczny mi będziesz, tyś jeszcze czegoś takiego nie widział.

— Jazda!

Wstałem, zatoczyłem się.

— Jadziem, Saszka! Jadziem, Aleksandrze Czuprow! Jadziem, genialny artysto! Ten stary także jest geniuszem? Wszystko nam wyjaśni? Wszystko! Stary wszystko może wyjaśnić! wszystko nam wyjaśni?

Wszystko! Stary wszystko może wyjaśnić! Jest kelnerem.

V

*W sąsiedniej bramie przyczajone zgrają,
ckliwym zapachem sączą się karbolu,
na półce rzędem starych książek stają,
są w gęstwie, w trawie, na zielonym polu.
Wciąż słyszeć martwy szept ich — i nic więcej —
i zła się czai wróżba w każdym zdaniu,
gdy one wszędzie, w kuchni i w łazience,
i wodociągu schryptym mamrotaniu.*

Georgij Bołotin „Szatany śmierci”

Zanim kupiliśmy wódkę, znaleźli taksówkę i zajechali gdzieś w pobliże Daniłowskiego Targu, zdążyłem nieco otrzeźwieć. „A właściwie dokąd jadę i po co? — myślałem. — Po diabła mi ten starzec! A zresztą...”. A zresztą dzień niedzielny trzeba było jakoś zakończyć. Starzec, no to starzec. Też, wielka mi rzecz: z kobietą się rozstał. Zerwał z

kochanką. Z babą się pokłócił. Starzec, no to niech będzie starzec.

Sasza zatrzymał samochód i zapłacił rachunek.

— Zaczekaj, pójdę dowiedzieć się, czy do niego można. Jedna chwileczka...

Usiadłem na bulwarowej ławce i zapaliłem papierosa. Za mną terkotały tramwaje. W alejkach młodzi ojcowie popychali wózki z dziećmi. Wysztyftowani żołnierze spacerowali z dziewczętami, rozmawiali szlachetnie i statecznie, i nie próbowali podmacywać — było jeszcze zbyt widno. Podniosłem wzrok.

Nowe, ośmio- i dziesięcio-piętrowe domy stały w odstępach równoległe do bulwaru; ich jasne, ceglane oblicza o czysto wymytych oknach życzliwie i z otuchą spoglądały na młodziutką zieleni sadzonek. Ale w przerwach tego odświeżonego optymizmu widniały szare gmachy z lat trzydziestych. Uporczywie, z ponurym przekonaniem o własnej wyższości, ustawione narożnikami do bulwaru, klinowym szykiem na niemiecki sposób, stały nieruchomo, a mimo to napierały z głębi podwórek. Wyczuwało się w nich taką pewność swojej racji, taką niewzruszoną wierność idei, że wydawało się: niech tylko wstanie z grobu Budowniczy, który je powołał do życia, niech wyciągnie wskazującą dłoń a szare masy ruszą naprzód, zmiotą tekturowy blichtr nowych budowli, niwelując na poziomie asfaltu automatyczne windy, fińskie meble, dwutomowe wydania Hemingwaya i figi w kieszeniach modnych spodni.

Czuprow zjawił się przy mnie jakoś niespodzianie, jak gdyby wyskoczył spod ziemi.

— Jazda — powiedział. — Mistrz jest u siebie.

Poszedłem za nim, uderzając piersią o butelki, wsunięte do wewnętrznych kieszeni marynarki.

W czyściutkim, wylizanym tak, że aż błyszczało, jednopokojowym mieszkaniu przywitał nas malutki staruszek. Jego brwi poruszały się bez przerwy. Miał na sobie trykotowe, sportowe spodnie i staroświecką pidżamę ze sznurami, podobną do huzarskiej kurtki; spod pidżamy wyglądała czarna rosyjska koszula z białymi guzikami, jak u harmonii.

— Proszę — powiedział. — Bardzo mi przyjemnie. Arbatow, Giennadjusz Wasylowicz. A wasza godność? A imię tatusia? Anatol Mikołajewicz. Bardzo przyjemnie. Proszę, proszę siadać i wybaczyć nieporządek: prowadzę kawalerskie życie, małżonka raczyła wyjechać na wakacje.

Weszliśmy do dużego, podłużnego pokoju; meble były nowe, spracowaną serwetę na okrągłym, masywnym stole starannie przykrywa przezroczysta cerata, na kanapie, będącej zarazem łóżkiem, leżało kilka poduszek, jedna mniejsza od drugiej, jak ziarnka grochu. Jedna ściana była szczelnie zastłonięta szarą kotarą.

— Giennadjuszu Wasylowiczu, mój przyjaciel, Tolek, bardzo chciałby poznać wasze wiersze — powiedział Czuprow. — Można prosić o przeczytanie?

— Bardzo się wam, Saszeńka, spieszy. Ciągłe pośpiech, zawsze aby prędzej. A czy wolno zapytać — dokąd? Wszystko ma swoją kolej. Nie należy przynaglać szybkołotnego czasu — zdążycie. Ot, napijemy się zaraz wódeczki z Anatolem Mikołajewiczem, pogawędzimy o tym i o owym, obwąchamy się wąsikami, jak mrówki. A potem wiersze same przyjdą. „Wierszyczek — radość dla kiszeczek”, jak mawiał pewny mój stary przyjaciel. A wy, Anatolu Mikołajewiczu, zgadzacie się ze mną?

Ależ nie nazywajcie go Anatolem Wasylowiczem! Po prostu — Tolek!

— A nie, szanowny Saszeńka, w żadnym wypadku. Myśmy z szanownym młodzieńcem spotkali się po raz pierwszy, beczki soli jeszcze nie zjedli. Na wszystko w dzisiejszych czasach się zgadzam, wszystko przyjmuję i, jak to się mówi, wszystkiemu gratuluję, a ot z tym nowomodnym zwyczajem, żeby człowieka nie uszanować, zgodzić się w żaden sposób nie mogę. Mnie, jeśli łaska, od piętnastego roku życia Giennadjuszem Wasylowiczem nazywano. Prawidłowo! Albowiem poważające traktowanie człowieka wywyższa, podnosi, że tak powiem, nad grzeszną ziemią. Jak uważacie, Anatolu Mikołajewiczu?

— Jak wam wygodniej — odpowiedziałem. — Nazywaj choćby garnczkiem...

— ...tylko do pieca nie wsadzaj — dokończył starzec. Mówiąc, szybko i dokładnie zastawiał stół. Kieliszki, widelce, talerzyki, rzodkiewka, ogórki, pokrajany chleb, kiełbasa zjawiały się na stole z bajeczną szybkością. I tak samo szybko sypały się słowa, jakby wyuczone na pamięć, okrągłe, przytulne i staroświeckie, jak te widelce z kościanymi trzonkami. Starzec nalał kieliszki. Wypiliśmy.

— Tak, na temat garnczka i pieca, toście prawidłowo, Anatolu Mikołajewiczu zauważyli. Mówiąc nawiasem, właśnie wręcz przeciwne zjawisko daje się zauważyć: każdy

ze skóry wyłazi, żeby innego nie tylko garnczkiem mianować, ale i do pieca wsadzić — na węgielki, do ciepłka...

— Ludzie to zwierzęta — posępnie zauważył Czuprow. Widocznie, przypomniał sobie odrzucony plakat.

— A nie trzeba, nie trzeba tak, Saszeńka. Niepotrzebnie zwierzątka obrażacie. Czy byliście łaskawi zauważyć, o czym ludzie, gdy wpadną w niefrasobliwy nastrój, najchętniej rozprawiają? O zwierzętach, o zwierzęteczkach. A dlaczego? Dlatego, że każdemu są przyjemne. Na inne tematy, książki, powiedzmy, obrazki, posągi różne — na każdy temat ludzie sprzecząją się. O polityce, to już samo przez się zrozumiałe. A co do zwierząt, to już sprzeczać się nie ma żadnego powodu. Ot, jakoś wiosną przeczytałem artykuł, ilustrowany zdjęciami, o parkach zoologicznych w różnych krajach — dyrektor moskiewskiego Zoo napisał — i błogo na duszy. Zdawałoby się, co mi z tego przyjdzie, że we Włoszech narodził się malajski tapirek? A jednak czytam — i serce cieszy się. I tak we wszystkim. Niebawem zwierzęta staną się jedynym wiążącym ogniwem, jedynym punktem kontaktu między ludźmi. Zwierzęta, szanowni młodzieńcy — to nie zwykłe bydlaki, nie, to strażnicy i nosiciele duchowego pierwiastka!

Mimowoli podniosłem głowę nad talerzem — tak bardzo nie pasowały te ostatnie zdania do poprzedniej jego przemowy — do tych wszystkich „posągów”, „narodził się”, „byliście łaskawi zauważyć”. Starzec zauważył mój gest i przerwał. Sasza natychmiast wykorzystał chwilę ciszy.

— Wypijmy za tapirka! Jakże go — malajski? No, to za malajskiego tapirka! Hurra!

Wypiliśmy kilka kieliszków pod rząd. Starzec szybko zaczynał się wstawiać, a im bardziej był wstawiony, tym jaśniejsze i bardziej inteligentne stawały się jego słowa. Przestał stosować wyszukane zwroty. Założył nogę na nogę, kręcił głową, zwracając ją na przemian do mnie i do Saszy, zniżonym głosem mówił szybko i bardzo wyrażnie:

— Nikt z nas nie wie, co kryje się w duszy innego. Na przykład, ta nasza szczerza rozmowa stanowi szaleńcze, samobójcze obnażanie się z ubrania. Jeżeli na ulicy obnażycie się z ubrania w dosłownym tego słowa znaczeniu, zaprowadzą was na milicję, każą zapłacić karę, dadzą publiczną naganę — i tylko tyle! Natomiast szczerłość, rozbieranie się z odzieży duchowej — jest niedopuszczalne! Bo skąd my wiemy, a nuż jakieś moje słowo, jakaś moja myśl ugodzi

was w najbardziej utajone, najbardziej obolałe miejsce, wbije się na tyle silnie, że wyrwać tę jadovitą drzazgę będzie można jedynie za cenę mojego życia? I rzucicie się, żeby mnie zamordować, żeby uratować samych siebie! Któż z nas zdaje sobie sprawę, jaki jest ciężar wrogości, którą ktoś do nas czuje? A co wywołało tę wrogość? Niezręczne odezwanie się, zachowanie się przy jedzeniu, kształt nosa? Przy okazji — zwrócił się do mnie — nie jesteście Żydem?

— Nie — odpowiedziałem, dotykając nosa. — A co, podobny?

— Tak, jest coś takiego. O, właśnie, Żydzi, to jest mądry naród. Żyją pod strachem. I nie pod strachem Bóży, lecz pod strachem człowieczym. Każdego uważają za możliwego wroga. I słusznie postępują. Cóż może być strasniejszego od człowieka? Zwierzę morduje, aby nasycić głód. Taki zwierzak ma gdzieś ambicję, pragnienie władzy, karierę. Nie jest zazdrosny! Natomiast my — skąd możemy wiedzieć, kto pragnie naszej śmierci, kogośmy obrazili, nic o tym nie wiedząc? Obraziliśmy przez sam fakt naszego istnienia... Nie wiemy, niczego nie wiemy...

— Zwierzęta walczą aż do śmierci o samice — powiedział Sasza.

Giennadjusz Wasylowicz poruszył brwiami.

— To zupełnie inna sprawa. Tutaj gra instynkt zachowania gatunku. Zwierzęta są rozsądne i nieskomplikowane: nie zakochują się. A za to człowiek... Wystarczy żeby człowiek się zakochał, już zdolny do każdej podłości, do każdej zbrodni. Nie próżno Rzymianie mawiali: „Femina mors animae” — kobieta, śmierć duszy. Ale nie o to mi chodzi. Zapytuję was, Sasza, i was, Anatolu, czy jesteście pewni, że wśród waszych znajomych nie ma takich, którzy mogliby was zamordować? Co do mnie, jestem przekonany, że tak! A śmierć... Jesteście młodzi, nie myśleliście o niej, a ja — ja jestem stary. Leżę w nocy na tej kanapie, przyrzycie się — ma drewniane plecy — przewracam się z boku na bok, uderzę łokciem w drzewo i od razu: „Tak właśnie będzie w trumnie — drzewo obok, drzewo w górze, drzewo, drzewo!...”

Nabrał tchu; jego głowa trzęsła się prawie niedostrzegalnie.

— Niczego nie można przewidzieć. Nic nie pomoże: ani ostrożność, ani samotność — nic! Na próżno spierają się, rozprawiają, krzątają się...

— Kogo macie na myśli, Giennadjuszu Wasylowiczu?

— A właśnie tych... gryzipiórków — odpowiedział znużonym głosem starzec.

Wstał, zataczając się, i odsunął szarą kotarę: wzdłuż ściany ciągnęły się półki z książkami. Tłum pisarzy, jaskrawych, oprawionych w kwiciaste kretony, wdarł się do pokoju, jak tatarska horda, rwąc na strzępy pozory dostatku, mylący spokój mieszczańskiego ogniska domowego, a wraz z nimi wtargnęły skrzypiące, ociążałe wozy systemów filozoficznych, błyskające jak krzywe zwierciadła szable samoanalizy, tępe tarany wszechświatowego pesymizmu, żrebcze cywilizacji z żółtą pianą nienawiści do człowieka na wyszczerzonych pyskach, na strzępy, w drobny mak, na miazgę tratując siwobrodych ewangelistów, unoszących ku obojętnemu sufitowi rozpadające się w atomowym kurzu przykazania...

— Jeden drugiego chciałby w łyżce wody utopić — westchnął Czuprow i nalał resztki wódki.

...Wędrowałem wraz z Czuprowym przez puste ulice. Na skrzyżowaniach majaczyli posterunkowi, potężnie płonęły neonowe szyldy magazynów, obcasy ostro i dźwięcznie postukiwały na chodnikach, ale nawet ten stuk, który zazwyczaj tak mi się podobał, tym razem nie sprawiał radości. Do dnia jawnych morderstw pozostawał dokładnie tydzień.

VI

*Nie wstaniesz, nie umkniesz — zostaniesz struchlały —
a nas nie obchodzi już wcale,
czy żołnierz odejdzie ku śmierci bez chwały,
czy ku nieśmiertelnej chwale...*

Gieorgij Bołotin „Postój”

Przestałem chodzić do pracy. Zadzwoniłem do redakcji, oświadczyłem, że jestem chory. Wylegiwałem się na łóżku, słałem się po pokoju i niekiedy rysowałem profile na pakunkowym papierze, w którym przynoszono mi ze sklepu kiełbasę.

Przez cały ten czas był u mnie tylko Włodek Margulis, który natychmiast po przyjściu zadał mi idiotyczne pytanie:

„Na co im był potrzebny ten Dekret?”. „I m” — to znaczy rządowi. Zmilczałem, więc, zachwycony, że nie posiadam własnej opinii, zaczął mi wyjaśniać, na czym polega ta niesamowita historia, że jest nieunikniona, że wynika z samej istoty nauki o socjalizmie.

— Dlaczego? — zapytałem.

— A jakże inaczej? Wszystko w porządku: musieli zalegalizować morderstwo, uczynić z niego zwykłe zjawisko i właśnie dlatego nie wyjaśniają niczego. Dawniej wyjaśniali, przeprowadzali agitację.

— Doby smalone! Kiedyż-to?

— Za rewolucji.

— Aleś, bracie, zagiął! Wcale nie tak i nie po to rewolucję robili.

— No, a rok trzydziesty siódmy?

— Że niby co ten trzydziesty siódmy?

— To samo było. Całkowita swoboda mordowania. Tylko że wtedy podawali w odpowiednim sosie, a teraz zwyczajnie, bez niczego. Mordujcie — i basta! A poza tym wtedy mordercy mieli do swojej dyspozycji cały aparat, olbrzymie etaty. A teraz — bądźcie łaskawi sami. W trybie samoobsługi.

— Ech, Włodek, dość już tego! Twoje antysowieckie monologi przestały być dowcipne.

— A ty co, obraziłeś się z powodu sowieckiej władzy? Uważasz, że należy jej bronić?

— Naturalnie, prawdziwej sowieckiej władzy trzeba bronić.

— I któraż to prawdziwa? Ta bez komunistów? Jak u Szołochowa w „Spokojnym Donie”?

— Idź do diabła!

— Nie-e-zmiernie przekonywująca odpowiedź — ukłuk mnie Włodek. — A ty...

— Dość już tego — oświadczyłem.

Milczeliśmy przez chwilę, po czym Włodek poszedł, najwidoczniej obrażony.

Znowu położyłem się do łóżka i puściłem wodze myślom. Dlaczego i po co wydano ten Dekret, było mi najzupełniej obojętne. Nie ma sensu szukać jakiejś naukowej podstawy i błagować o rewolucji. Nie lubię tego. Mój ojciec był komisarzem podczas wojny domowej. Myślę, że dobrze wiedział, o co wojuje. Ojca pamiętam niewyraźnie — wzięło go w trzydziestym szóstym, jako jednego z pierwszych — ale po śmierci matki znalazłem jego listy. Po przeczytaniu

doszedłem do wniosku, że ludzie z mojego pokolenia nie mają prawa do rozpuszczania jęzorów o tamtych czasach. Możemy i powinniśmy decydować każdy w swoim własnym imieniu. To jedyne, co nam zostało, jedyne, co jesteśmy w stanie zrobić, ale i tak to dużo. Za dużo.

Tak, to ten Arbatow, ten stary z Daniłowskiego Bulwaru, tak mnie rozjątrzył. Nie chcę i nie mogę mordować, ale inni zechcą i będą mogli. I obiektem ich działalności mogę stać się właśnie ja — ja, Anatol Karcew! I znowu, jak w dniu mojej ostatniej schadzki z Zoją, przeliczałem w myśli swoich wrogów. Ten nie potrafi tego zrobić. Tamten chciałby, ale stchórzy. Ten inny potrafi — kamieniem, cegłą, zaczajony za rogiem. A tamten? Nie, nie jest moim wrogiem. Nie jest? Skądże ja mogę wiedzieć? A może właśnie wróg! A wreszcie, czy tylko wrogowie są w stanie odebrać mi życie? Pierwszy lepszy przechodzień, pierwszy lepszy pijak, zwariowany dureń może wystrzelić prosto w twarz, żeby patrzeć z lubością, jak podryguję nogami. Jak moje życie płynie na asfalt. Jak zaostrza się nos, zapadają się policzki, jak zwisa dolna szczeka. Jak przez otwór w czaszce znikają moje oczy, moje ręce, moje słowa, moje milczenie, moje morze, mój piasek, moje kobiety, moje niezdarne wiersze...

Poszli precz! Do diabła! Nie pozwolę, aby mnie zamordowano. Muszę, powinienem żyć. Schowam się, zabarykaduję, przesiedzę u siebie w pokoju. Nie chcę umierać. Nie chcę! Życie za wszelką cenę nie hańbi. Lepszy żywy pies...

Stop! Trzeba się wziąć w ręce. Trzeba się opanować. Lepszy żywy pies. Poprzedniego dnia kupię żywność i w niedzielę w ogóle z mieszkania nie wyjdę. Położę się do łóżka i będę czytać Anatola France'a. Bardzo lubię Anatola France'a. „Wyspę pingwinów”, „Bunt aniołów”. Także Anatol France w szlafroku”. Gdy zdarzało się, że zostawałem na noc u Zoji, nakładała na mnie szlafrok Pawełka i szalała z radości. Przedtem nie rozumiałem, skąd ta radość, a teraz rozumiem. Wyobrażała sobie, że została wdową i wyszła za mnie. Ciekawe, w jaki sposób zamierzała zamordować Pawełka? Przesiedzę w pokoju całą niedzielę. Sąsiedzi też pewnie zamkną się. Tak, ale mordercy mogą siłą wdrzeć się do mieszkania. Trzeba będzie wzmocnić wejściowe drzwi. Ukradnę na pobliskiej budowie łom i podeprę drzwi. Łomem po głowie. Jeśli się wedrą, będę ich bił łomem po głowach, jak psy. Lepszy żywy pies. Niedawno

byłem na wystawie rasowych psów. Bardzo podobały mi się charty — łby mają wąskie i długie, jak pojedynkowe pistolety. Czy potrafiłbym stanąć do pojedynku? Kula Puszkina trafiła w guzik D'Anthesa. Jeżeli w niedzielę wyjdę na miasto, trzeba będzie włożyć papierośnicę do wewnętrznej kieszeni marynarki, po lewej stronie, tam gdzie serce. „Z lewej strony serce” — to tytuł powieści Leonharda Franka, bardzo nudne. Bruno Frank to zupełnie co innego — napisał książkę o Cervantesie. A jakby się zachował 10 sierpnia Don Kichot? Jeździłby po całej Moskwie na swoim Rosyńcu i ujmował się za wszystkimi. Cudak z miedzianą miednicą na głowie wjechałby na Czerwony Plac, gotów łamać kopię w imieniu Przepięknej Damy, w imieniu Rosji. Ten nieszczęśliwy rycerz szukałby na moskiewskich brukach 1960 roku swego przyjaciela i wyznawcy tych samych idei, — młodego ukraińskiego chłopca, który niegdyś wyśpiewał pieśń o Grenadzie. Ale już założono kamienną kostką ślady po bojowych rumakach, ale zalano asfaltem otwory w ziemi, w których zatykano pułkowe sztandary. Nie znajdzie nikogo, biedny fantast z La Manczy, n i - k o - g o ! Wiem na pewno. Gdzież są ci, którzy by poszli za Don Kichotem? Czuprow? Margulis? Igor? Nie, nie, nawet jeśli będą walczyć, to tylko we własnej obronie. Zaraz, zaraz, kto to całkiem niedawno powiedział: „Powinniśmy decydować każdy za siebie samego”? A-a, to ja sam mówiłem, to ja sam na to wpadłem. Dlaczegoż więc zabieram się do sądzenia innych? Dlaczego mają być gorsi ode mnie? Dlaczego mam być lepszy od nich?

Zeskoczyłem z łóżka i z odrazą wpatrzyłem się w poduszkę, na której pozostało wgłębienie, wyciśnięte moją głową. A więc to ja leżałem? To ja magazynowałem żarcie i zastawiałem drzwi łomem? To ja trząsałem się, jak ostatnie bydło, nad swoją drogocenną skórą? To ja o mało co nie nawaliłem w portki ze strachu? Więc cóż ja jestem wart, z tym całym wspaniałym patosem pogardy i oskarżeń, z tym śmierzdzącym stanowiskiem na boczku? Poncjusz Piłat, zdrajcą codziennie swoją własną duszę — cóż ja jestem wart?!

Tak, każdy odpowiada wyłącznie za siebie. Ale za siebie, a nie za tego, w kogo pragną go zamienić. Odpowiadam za siebie, a nie za potencjonalnego samoluba, donosiciela, czarnosecińca, tchórza. Nie mogę pozwolić aby mnie zamordowali, zachowując własne życie.

Dobrze, dobrze, ale cóż mam zrobić? Pojutrze wyjdę

na miasto i będę krzyczyć: „Obywatele, nie zabijajcie jeden drugiego! Miłujcie swoich bliźnich!”. Tak? A co z tego wyniknie? Komu to pomoże? Kogo tym uratuje? Nie wiem, nic w ogóle nie wiem... Być może, uda mi się uratować samego siebie. Jeżeli jeszcze nie jest za późno.

VII

*Zostańcie tu! I nigdzie nie odchodźcie,
w szaleństwie, w gniewie, w trwodze nierozumnej,
Już aniołowie w swym koszącym locie,
mijając, pędzą nad wyjąłym tłumem;
i już, o ziemskich prawach zapomniawszy,
tysiące gadów wypełzają z błota,
syk z rozdziawionych wyrzucają paszczy —
i matki płód swój zaczynają miotać.
Zostańcie! Tak wam rozkazało życie:
być z nimi, spędzonymi z wszystkich lądów.
więc się upijcie, dusze swe natchnijcie
Ostatecznego bezmyślnością Sądu!*

Georgij Bołotin „Do was, poeci!”

Dziesiątego sierpnia wstałem o ósmej rano. Ogoliłem się, zjadłem śniadanie, poświęciłem kilka chwil lekturze. Ale co bym nie robił, nie mogłem pozbyć się natarczywej myśli, że powinienem wyjść na miasto. Przypominały mi o tym głośnieki za oknem rżące brawurowe marsze, koty spacerujące zygzakiem po jezdni, wyraźnie zachwycone tym niezwykle brakiem ludzi, a także i to, że sąsiedzi nie wchodzili ani do kuchni, ani do ustępu, wszystkie czynności załatwiając w swoim pokoju.

Koło jedenastej ubrałem się, włożyłem papierośnicę do lewej kieszeni, zgodnie z postanowieniem, i wyszedłem na schody.

Zstępowałem po stopniach, nie spiesząc się i bez hałasu, więc gdy na zakręcie natknąłem się na sąsiadkę z trzeciego piętra, była to niespodzianka dla obojga. Ale to, co stało się w następstwie... Sąsiadka krzyknęła, rzuciła się na bok, butelki, które niosła w siatce, trzasnęły o poręcz. Zadźwięczało szkło, kefir trysnął przez oka siatki na podłogę. Kobieta pośliznęła się w gęstej kałuży kefiru i z jękiem ciężko siadła na stopniach. Skoczyłem, żeby ją pod-

nieść. Krzyknęła po raz drugi, zamknęła oczy i zaczęła mnie bezsilnie odpychać trzęsącymi się rękami.

— Tolek, Tolek — mamrotała niewyraźnie — przecież ja was od małego... na rękach... i waszą mamusię... Tolek!

— Anno Filipowa, ale cóż znowu! Tu rozbite szkło, możecie skaleczyć się...

Otworzyła oczy, podniosła ku mnie zmartwiałą twarz.

— Tolek — powiedziała — przecież ja... przecież ja... myślałam, że... Wysłałam, żeby kefiru dla Anusi, dla wnuczki... Ach, Tolek!

Rozpląkała się. Jej ciężkie, opłynnione tłuszczem ciało sześćdziesięcioletniej kobiety trzęsło się jak w dreszczu. Podniosłem ją, wręczyłem torebkę.

— Zinoczka źle się czuje, a Borys wyjechał służbowo, więc dlatego, żeby kefiru...

Z góry, z trzeciego piętra biegła już w rozpiętym szlafroku jej córka, Zina, kiedyś moja koleżanka szkolna.

— Mamo! Co się stało? Kto ciebie? Co się dzieje?

— Nic takiego, Zinoczka. Po prostu przewróciłam się...

— A mówiłam... — zaczęła Zina.

— Zina, odprowadź matkę do mieszkania, a ja pójdę po kefir.

Wyjąłem z siatki zalane kefirem bułki i wręczyłem je Zinie.

— Tolek, przecież pieniądze...!

...Kiedy wreszcie załatwiłem z tym kefirem i znowu znalazłem się na ulicy, upał znacznie wzmoógł się. Było parno, jak przed burzą. Przerzuciłem marynarkę przez ramię, zapominając o ratowniczej papierošnicy. Czułem się paskudnie: przed oczami widniała zmartwiała twarz sąsiadki, słyszałem jej niewyraźny, rozpaczliwy bełkot: „Tolek, Tolek...”.

Szedłem wzdłuż Nikitskiego Bulwaru. Był taki sam, jak zawsze — wesoły, wystrojony, cały pstry od cieniściego listowia, jak jabłkowity koń. Tyle że w tym dniu brakowało na nim dzieci. Wyrostki, rozwaleni na ławkach, w koszulach z podwiniętymi rękawami, spluwali przez ramię na trawniki, zaś środkiem alei szedł starszy mężczyzna z arogancko zadartym podbródkiem, prowadząc na smyczy olbrzymiego doga bez kagańca.

Na Arbatskim placu zobaczyłem biegnących ludzi. Spiechli się gdzieś w kierunku starego metra, dokąd, nie mogłem dojrzeć — przeszkadzał gmach kina. Pobiegłem wpoprzek i przepchałem się przez tłum.

Na ziemi leżał człowiek, głową do muru. Leżał właśnie w takiej pozycji, w jakiej był przedstawiony trup na plakacie Saszy Czuprowa: rozrzucone ręce, odsunięta na bok noga, zgięta w kolanie. Na koszuli rozszerzała się czerwona plama; koszula była biała, wietnamska — mam taką samą, wiosną kupiła mi siostra. Człowiek leżał zupełnie nieruchomo, słońce odbijało się w wąskich czubkach jego modnych półbutów. Jakoś nawet nie od razu zrozumiałem, że nie żyje; kiedy zrozumiałem, przeszedł po mnie zimny dreszcz. Najbardziej wstrząsnęło mną nie morderstwo, nie śmierć, ale właśnie to, niemal mistyczne urzeczywistnienie graficznych przywidzeń Czuprowa: dlaczego zwłoki leżą dokładnie w takiej pozycji? Odrzucona do tyłu głowa prawie opierała się o ramę afisza, na którym dziarski, czarno-biały tancerz zapowiadał dekadę osetyńskiej sztuki i literatury. Obok wisiała zdarta do połowy zapowiedź Politechnicznego Muzeum: „Kandydat ekonomii, G.S. Hornfeld, wygłosi odczyt na temat „Zagadnienia planowania i organizacji pracy w zakładach...”. Reszta została zerwana.

W zgromadzonym tłumie toczyła się niegłośna rozmowa.

— Młody.

— A może jeszcze żyje?

— Ale skąd! Umarł — lusterko podsunęłam, mam w torebce.

— Kto go załatwił?

— Kwaciarka mówiła: „Podszedł wysoki taki, opalony, i wystrzelił. Zawołał na niego, tamten się odwrócił i wtedy wystrzelił”.

— Kto się odwrócił?

— O, Boże, wiadomo kto — nieboszczyk!

— A milicji jak na złość — nie ma!

— Milicja zawsze jest tam, gdzie jej nie potrzeba.

— Zaraz, ojczulku, a co tu milicja ma do gadania?

— Jakto co? Człowieka zamordowali!

— No, to co?

— A niech cię diabli, dureń jakiś! Człowieka, powiadam, zabili!

— Ty, ojczulku, nie naskakuj. Nie wiadomo, kto głupszy. Gazety czytujesz? Dziś — wolno!

— Nie drzyj mordy, młodzieńcze: nieboszczyk obok. Gazety gazetami, a o sumieniu też trzeba pamiętać.

— Coś tu szanowna osoba w niewłaściwy ton uderza. To znaczy, że sumienie i rządowy dekret nie zgadzają się

ze sobą, tak? Jakbym na miejscu szanownej osoby takiej propagandy nie uprawiał!

— Odwalaj stąd, kochanie, odwalaj, żebym cię kijkiem między okulary nie ukrzywdził!

— Bojowy jakiś staruszek!

— Żeby chociaż muchy odpędzić. Nieładnie.

— Jakże to tak, moi mili, to znaczy, że pierwszy lepszy chuligan człowieka kropnie i nic mu za to nie grozi?

— Gazety, mamusiu, należy czytywać. Powiedziano: „Swoboda w zabijaniu”. Nie przejmuj się: kropną kogo należy — i po wszystkim.

— A kogo kropnąć należy?

— Tam u góry wiedzą. Po próżnicy dekretu ci nie napiszą.

— Żeby chociaż nieboszczyka nie rozebrali. Półbuty ma...

— Rabować nie wolno. To przecież sprawa państwowa.

Wydostałem się z tłumu i poszedłem jak najdalej.

Nie pamiętam już teraz, gdzie się wałęsałem, ile ulic i placów przemierzyłem i w jaki sposób założyłem na Czerwony Plac.

Podszedłem aż do samego Mauzoleum.

Wypukłe, prostokątne pudło placu, aż do przesyty, aż po same dachy i kopuły naładowane wieloletnim, pokornym pietyzmem, tak zagęszczonym, że aż dotykalmym. Równoległe linie trybun z nagiego betonu, trzypiętrowe sześciiany grobowca, niski parapet, załamujący się pod kątem prostym, naiwnie ząbkowane blanki murów — cały ten obraz, znany mi i ulubiony od samego dzieciństwa, od niemowlęcego gaworzenia, niezmienny i bezkompromisowy, jak wykres matematycznego twierdzenia, nagle uderzył mnie wprost w mózg, w duszę, w serce. Założenie — idea; należy udowodnić — wcielenie. Więc skostniał od nadmiaru gorliwości geometrycy kreślą bez przerwy, wciąż kreślą, rozkładają arkusze na pochylonych przed nimi plecach, kreślą i nie dostrzegają, nie chcą dostrzec, że papier porwał się, że złamał się rysik, że ołówek zamienił się w szpicrutę i brunoje skórę, tnie żywe mięso. Zatrzymajcie się! Przecież nie wolno, nie wolno za taką cenę! Przecież to są ludzie! Przecież on tego nie chciał. Ten, co pierwszy położył się wśród tych marmurowych ścian!

Ktoś zwałił mnie z nóg. Upadłem, a zanim zdążyłem podnieść się, zwałił się na mnie jakiś osobnik. Ścisnął mnie za gardło, ale szarpnąłem się ostro i uwolniłem szyję. Potoczyliśmy się, bijąc głowami o ciosane kamienie bruku, gniotąc jeden drugiego i na próżno usiłując znaleźć nogami punkt oparcia na śliskiej, niedawno polanej wodą jezdni. Przed wzrokiem migało błękitne niebo, pstre kopuły Wasyła Błogosławionego, czerwony marmur sześcianu i dwa nieruchome posągi z karabinami, strzegące umarłych. Dotoczyliśmy się aż do samych nóg wartowników. Dopiero tu udało mi się wreszcie wyróżnić tamtego kolanem w brzuch. Zwolnił uścisk rąk, poderwałem się, zachwiałem, przydeptałem nogę jednego z wartowników. Mój przeciwnik również podniósł się, trzasnąłem go w szczękę i jeszcze raz i jeszcze, upadł ponownie, pełznął po ziemi, chciał wstać, ręce mu się załamały, usiadł, wsparty plecami o mur Mauzoleum, splunął czerwoną śliną i zachrypiał:

— Jestem gotów. Bij!

Podniosłem leżącą pod parapetem marynarkę i powiedziałem, ciężko chwytając oddech:

— Ścierwo!

Odpowiedział:

— Na rozkaz Ojczyzny...

Obejrzałem się na wartowników. Stali tak samo nieruchomo jak przed trzema minutami, a tylko jeden z nich, zezując oczami, patrzył na plamę kurzu, którą mój obcas zostawił na jego wyglansowanym bucie...

Poszedłem do domu.

VIII

*Więc wybrał muszlę Bóg i cierpienie
dłoń Stwórcy jej zadała:
ziarenko piasku na siłę wtłoczył
do bezbronного ciała.*

*Jeśli Nieznane wejdzie w twój dom,
jak się od zła wyzwolisz?
Białą kuleczką, ziarnkiem przejrzystym
perła dojrzewa powoli.*

Richard O'Hara „Laguna”

Październikową rocznicę obchodziliśmy w tym samym towarzystwie. Po długich naradach postanowiono zebrać się u Zoji i Pawełka: mają osobne, dwupokojowe mieszkanie, magnetofon z nagraniami Wertyńskiego i Leszczenki, mnóstwo naczyń — słowem, kobiety zadecydowały, że tam będzie najlepiej.

Gdy mnie poinformowano o miejscu zebrania, najpierw postanowiłem, że nie pójdę, ale później... Później pomyślałem: „W gruncie rzeczy, po kiego diabła mam się krępować? Wszyscy moi, jedzenie doskonałe, a to że wiem tamto o Zoji... Założmy, że w ogóle nic nie wiem”. Co prawda, nie bardzo byłem pewny, co o tym sądzi Zoja i czy zależy jej na mojej obecności, więc powiedziałem Lili, że jeszcze nie wiem, czy w ogóle gdziekolwiek pójdę, że jestem w kiepskim nastroju i żeby Zoja zatelefonowała w przeddzień — wtedy powiem coś konkretnego. A sam zdecydowałem, że w czasie rozmowy zorientuję się, jak postąpić.

Zoja zadzwoniła.

Przywitała się, jak gdyby nigdy nic, zapytała o zdrowie, w jakim jestem nastroju i czy przyjdę. Mówiła do mnie, odpowiadałem jej i słyszałem jej oddech przez telefon.

— Bardzo cię proszę, Tolek, przyjdź — powiedziała Zoja. — Bardzo mi na tym zależy. Będę czekała. Jeżeli nie przyjdiesz, popsujesz mi całe święto.

— Wiesz, Zoja, jeżeli przyjdę, to nie sam.

— A z kim?

— Ty jej nie znasz — odpowiedziałem.

Zoja zamilkła na jedną chwilę i odpowiedziała:

— Naturalnie, możesz przyjść, z kim zechcesz. Wiesz przecież, że radzi przyjmiemy twoich przyjaciół.

I na tym pożegnaliśmy się.

Powiedziałem: „Ty jej nie znasz”. To była święta prawda: sam nie wiedziałem, kogo miałem na myśli.

Wywołałem w myśli wszystkie swoje koleżanki, oczywiście, niezamężne. Było ich sporo, ale całe nieszczęście, że każda z nich mogłaby zrozumieć zaproszenie dwuznacznie, a ja nie miałem najmniejszej chęci wdawać się w nowe romanse. Może lepiej, żebym poszedł sam? Ale tu napadł mnie szatan szczeniackiej mściwości: za wszelką cenę muszę udowodnić Zoji, że mam ją gdzieś. Postanowiłem zatelefonować do Swietłany. Swietłana jest ilustratorką w naszym wydawnictwie, ma dwadzieścia trzy lata. Jest bardzo miła, wiem, że się jej podobam, a poza tym jest dostatecznie

skromna, żeby sobie nie wyobrażać Bóg wie co. Kiedy ją zaprosiłem, bardzo ucieszyła się, zmieszała i zaczęła szczebiotać, że to krępujące, że ona nikogo tam nie zna, że do prawdy, nie wie...

— To głupstwo, Swietoczka — powiedziałem. — To są wszystko bardzo mili ludzie i jeżeli was nie zawstydy, że mogą poupijać się i zacząć śpiewać złodziejskie pieśni, a może nawet kłąć, to... Nie ma dyskusji, czekam jutro o pół do dziesiątej na rogu Stolesznikowa, tam, gdzie księgarnia.

...Kiedyśmy przyszli, wszyscy już od dawna siedzieli za stołem. Butelki wypróżniły się o jedną trzecią, mężczyźni pozdejmowali marynarki, ten i ów próbował śpiewać. Ale wspaniałość świątecznego stołu nie uległa jeszcze zniszczeniu: nikt jeszcze nie gasił niedopałków na talerzach i nie mylił kieliszków.

Na nasz widok wszyscy podnieśli radosny hałas. Hałasowali i oglądali Swietlanę.

— To jest Swietłana — powiedziałem — potraktujcie ją tak, żeby się czuła, jak u siebie. Przysuwajcie butelki, zapraszajcie nas i częstujcie.

— Swietłanoczka, kochanie — zaśpiewała po swojemu Lila — proszę bliżej. Te chłopcy zupełnie się rozwydrzyły, sami jedzą, piją i nie zwracają na nas żadnej uwagi. Ale obejdziemy się bez nich, prawda?

— Nie obejdziecie się bez nas! — Pawełek zanosił się śmiechem. — My...

— Niech piją kolejkę za karę, że się spóźnili! — darł się Włodek.

— Swietłana, proszę kieliszek — Igor nalał jej wytrawnego wina.

— A może lepiej koniaku? Wódki nie odważam się proponować.

— Ach, nie, coś znowu, dziękuję — uśmiech Swietłany był nieco wymuszony.

— Tolek, gdzie się podziewacie, dlaczego się nie pokazujecie? Miszeńka ciągle zapytuje: „A gdzie jest wujek Tolko? A kiedy przyjdzie?” — Emma, żona Włodka, położyła biust na stole i, udając swego synka, zaokrągląła usta i oczy. Ubrana była, jak zawsze, jaskrawo i bez smaku.

— A więc? — Zoja podała mi kieliszek wódki.

— A więc? — odpowiedziałem.

— Wszystkiego najlepszego w dniu święta! Wszystkie-

go najlepszego, spóźnialscy! — Pawełek pochylił się nad stołem, żeby trącić się ze mną kieliszkiem. — Już się obawiałem, że nie przyjdziecie. Bo ja i Zoja...

— Pawełek, wylewasz wódkę.

— Przepraszam, kochanie... Ja i Zoja...

— Pawełek, podaj mi, proszę, sałatę.

— Ja i Zoja... A cóż ty mi słowa powiedzieć nie pozwalasz?!

— Po prostu chciałem ciebie prosić, żebyś nalał również wina i mnie.

Hałas ciągle wzrastał. Już nie było wspólnej rozmowy. Już Igor na całego przystawiał się do Swietłany, już Lila wyskoczyła zza stołu i zawisła na szyi jakiegoś tykowatego młodzieńca, którego nazywano „geologiem Jurą”, już Włodek głośno recytował wiersze wziętego, młodego poety, wiejskie wiersze z niedbałymi, jak niezawiązane sznurki, rymami. Na Włodka szarżowało dziewczę z ostrym nosem, krzycząc, że poeta jest trywialny, a jego wiersze — to beztalencie.

— Trywialny — darł się Włodek — a cywilna odwaga, to co?! Beztalencie, a dlaczego „Komsomolskaja Prawda” go zjeżdża?!

Panowała powszechna wesołość. Pawełek przygotowywał magnetofon. Emma jadła sałatę. Geolog Jura ciągle powtarzał: „Myśmy tam odzwyczaili się od majonezu”. Wypiłem trzy kieliszki i, nie wiadomo czemu, wpadłem w złość.

— Słuchajcie przyjaciele — powiedziałem, zagłuszając zmieszany hałas popijawy — czy wy wiecie, że ja was wszystkim cholernie Kocham?!

— Toleczku!

— To — la!

— Tola, mój śliczny!

— Przecież to nie ma sensu — kontynuowałem — że tak rzadko się spotykamy. Kiedy to ostatnio byliśmy wszyscy razem?

— Ostatnio?

— Istotnie, kiedy to było?

— A ja wiem! — zawołała Lila. — Ostatni raz to było w willi na wsi! Wtedy, gdy został ogłoszony Dzień jawnych morderstw!

Wszyscy naraz umilkli. Nawet puszczonego w ruch magnetofon zaciął się na jakimś hamulcu, zaskrzypiał i zatrzymał się. Tylko Emma jeszcze mówiła z rozpedu:

— ...a w szkole u nich organizują gorące śniadania...
Ale i ona zamilkła, spostrzegłszy powszechną ciszę. Przerwa w rozmowie trwała, przeciągała się, zaczynała stawać się nieprzyzwoitą.

— I rzeczywiście — odezwał się Igor — tyle czasu upłynęło, tyle wydarzeń. Dziesiąty sierpnia...

— Ja i Zoja — wykrzyknął Pawełek — ja i Zoja przesiedzieliśmy spokojniutko... Telewizor, magnetofonik... A następnego dnia w biurze mnie zapytują...

I wtedy wszystkich jakby poderwało.

— ...a ja mu na to mówię: „Ja ciebie pierwszy zaciukam! Ty — powiadam — padlino...”. I zagiąłem go, sam wiesz, jak to ja potrafię...!

— W Odessie kryminaliści złapali komendanta milicji. Naturalnie, był w mundurze. Wiecie, co zrobili? Przebrali go w jakieś łachmany i puścili. Rozumiecie, puścili wolno? A potem dogonili i... wykończyli! Była rozprawa sądowa.

— Na-aprawdę?

— I skazali... za napad rabunkowy!

— A teraz posłuchajcie, co się działo w Pieriedielkinie! Koczetow wynajął sobie straż przyboczną z podmoskiewskich bandytów. Karmił ich, poił naturalnie. A inni pisarze znowu wynajęli swoich bandziorów. Po to, żeby Koczetowa trzasnęli!

— I co się stało?

— Co się stało! Draka była na całego! Bandyci między sobą się tłukli!

— Chłopcy, a kto z was wie: dużo było ofiar?

— W RSFSR niewiele: wszystkiego jakieś osiemset, czy dziewięćset, coś koło tysiąca. Jeden gość z GSU opowiadał.

— Tak mało? Nie może być!

— Zgadza się. Te same liczby przez radio nadawali. Zagraniczne audycje, naturalnie.

— Ale tam to dopiero była rzeź! Gruzini Ormian, Ormianie azerbajdżańskich Turków...

— Ormianie Turków?

— No, tak, w Górnym Karabachu. To przecież ormiańska prowincja.

— A w Środkowej Azji jak było? Tam chyba także się tłukli?

— Nie, tam wewnętrznych walk nie było. Tam wyłącznie Rosjan wyrzynali...

— Czytaliście oświadczenie Centralnego Komitetu?

— Czytaliśmy!

— Nie czytaliśmy! Opowiadaj!

— Więc najpierw o Ukrainie. Tam Dekret uznano za dyrektywę. No, i narozrabiali. Młodzieżowe zespoły, złożone z aktywistów, listy wybranych osób... O tych listach stało się od razu wiadome — jakże taką rzecz w sekrecie utrzymać? No, i wypadło tym specjalnym zespołom obejść się smakiem: wszyscy, którzy byli na listach, pouciekali. Tak że cała sprawa zwichrowała się. I teraz jeszcze CK im dołożył — za wulgaryzowanie idei, za wypaczenie. Czternastu sekretarzy rejonowych komitetów i dwóch sekretarzy komitetów obwodowych — na zieloną trawkę!

— Naprawdę?

— Najzupełniej ściśle. A w krajach bałtyckich nie zabili nikogo.

— Jakto nikogo nie zabili?

— A ot tak! Nie zabili — i tyle!

— Ale przecież to demonstracja!

— I jeszcze jaka! Zignorowali dekret i po wszystkim. W piśmie CK wskazuje się na niezadawalający poziom pracy polityczno-wychowawczej w krajach bałtyckich. Także kogoś zdjęli ze stanowiska.

— ...biegnie zaułkiem, krzyczy i strzela i strzela! Seriami po oknach! I skąd on automat wytrzasnął? W lotniczo-technologicznym Instytucie o oporze materiałów wykłada...

— A my drzwi na klucz, rolety spuściliśmy — i w szachy....

— Powiadam mu: „Ani mi się waż, pomyśl o dzieciach!”. A on swoje: „Idę na miasto!” — nawet zębami zazgrzytał. Masza płacze... Ledwie go przekonała...

— ...W „Izwestjach” artykuł tej, jakże się nazywa?... Heleny Kononienko. O wychowawczym znaczeniu dla młodzieży. Nawet jakoś to z politechnizacją i z ugornymi ziemiami powiązała...

— A znowu w „Krokodylu”! Taki rysunek zamieścili: leży i...

— Ja i Zoja tylko jednego żałowaliśmy, że nie ma nikogo z naszych: weselej by było...

Minęło, minęło, minęło! To słówko, przez nikogo nie wypowiedziane, wyskakiwało wciąż poprzez anegdotyczne opowiadania, przez nerwowy śmiech, przez nieprawomyślne repliki pod adresem rządu. Po raz pierwszy od Dnia jawnych morderstw dowiedziałem się, co ludzie mówią o tamtych wydarzeniach. Dotychczas, jeśli kogoś na ten temat

zagadywałem, patrzyli na mnie jakoś dziwnie i zmieniali temat rozmowy. Niekiedy łapałem siebie na niesamowitych myślach: „A może to wszystko mi się tylko przyśniło?!”. A teraz — minęło! A teraz obchodzimy 43-cią rocznicę Wielkiej Październikowej Socjalistycznej Rewolucji!

Tylko czworo nas milczało — Swietłana, Zoja, Włodek i ja. Wzburzony nurt wrażeń, opowiadań, pogłosek i wiadomości wirował, zawisał w powietrzu barwną tęczą, bryzgał pianą na beżowe tapety.

— W naszej ekspedycji wszystko odbyło się cicho i spokojnie. Tam nie można — dokoła tajga. Dzisiaj — ciebie, a jutro — mnie...

— Nasz sąsiad popełnił samobójstwo o świcie... Spokojny taki staruszek, kelnerem był w restauracji „Praga”...

— Nie mogłam zasnąć przez całą noc, ciągle wydawało mi się, że ktoś się dobija...

Przypomniałem sobie noc na jedenastego sierpnia. Wyszedłem na ulicę Sadową — właśnie szerokim frontem szły miejskie polewaczki z rozstawionymi szczotkami i zmywały, zmywały, zmywały jezdnię i chodniki...

Wyczekałem, aż Swietłana obróci się do mnie, i ukradkiem pokazałem jej wzrokiem na drzwi. Wyszła, a za chwilę wyszedłem także. W kuchni było przytulnie i spokojnie.

— No, jak, Swietłana? Podobało się?

— Wiesz, Tolek, nie bardzo rozumiem. Wszyscy oni byli naprawdę bardzo mili, a potem, jak zaczęła się rozmowa o tej sprawie... Dlaczego oni tak bardzo się cieszą?

— Cieszą się, że ocaleli.

— Przecież wszyscy oni pochowali się! Przecież ich — Swietłana zacięła się, szukając właściwego słowa — przecież ich... zastraszyli!

— Zastraszyli? — chwyciłem dziewczynę za ramiona. — Swieta, ty zdałaś sobie sprawę?

Nie, nie zdawała sobie sprawy. Nie mogła zdać sobie sprawy, że tym jednym słowem odpowiedziała we właściwy sposób na pytanie, jakie zadawały nadaremnie miliony zmieszanych, zagubionych ludzi. Ta mała nie orientowała się, że znalazła się na poziomie wielkich statystów, dalekowzrocznych przywódców narodów, na równi z przemądrzałym szelestem papierów w zaciemnionych gabinetach, z niezbyt głośnym, nabrzmiałym szacunkiem mamrotaniem referentów, na równi z tym, co nazywają Państwem przez duże P. Wydawało się jej, że powiedziała to słowo tylko do mnie, w

rzeczywistości rzuciła je prosto w twarz, niechcący, nic o tym nie wiedząc, ogromnym rządowym gmachom, czarno-białym hektarom dzienników, codziennie walącym się na kraj, zgodnym rykom publicznych zgromadzeń, szatańskiemu jazgotowi gąsiennic, ciągnących rozwarte paszcze armat na świąteczne defilady.

Objąłem dziewczynę i powiedziałem:

— Dość już o tym, Święta. Mam chęć ciebie pocałować, mam chęć już od dawna, czy tego nie widzisz...?

...I oto, po odprowadzeniu Świętłany, wracam do siebie. Idę przez znajome ulice, przez zaułki, po których mógłbym spacerować z zamkniętymi oczami. Przez tiulowe firanki przeświecają różowo wspaniałe krynoliny abażurów. Przed bramami rozstają się i w żaden sposób nie mogą rozstać się żegnające się pary. Kamienny Timiriaziew zastygł w zadumie, niby kamienny palec, przystawiony do czoła. Gdzieś huczy radio, gdzieś-tam zazgrzytały hamulce samochodu, hałasują rozweselone gromadki, podobnie jak ja, powracające z jakiegoś przyjęcia. W jakichś pokojach, na jakichś piętrach siedzą ludzie i wymrukuja przekleństwa, wiersze, wyznania miłosne.

To mówi Moskwa.

Idę ulicą, przez spokojny, przytulny bulwar, sprawdzam czy zeszyt jest w kieszeni i myślę o tym, co napisałem. Dochodzę do wniosku, że to samo mógłby napisać ktośkolwiek inny z mojego pokolenia, dzielący takie same losy, podobnie, jak ja, zakochany w tym przeklętym, tym cudownym kraju. Osądzałem ten kraj i jego ludzi, a także siebie samego lepiej i gorzej, niż należało osądzać. Ale kto ma prawo potępić mnie za to?

Idę i mówię sam do siebie: „To jest twój świat, twoje życie, jesteś jego komórką, jego częstką. Nie powinieneś pozwolić, aby cię zastraszone. Powinieneś zdobyć się na odpowiedzialność za samego siebie i na tym polega twoja odpowiedzialność wobec innych”. A wtedy cichym szumem nieświadomionej zgody i zdziwionej aprobaty odpowiadają mi niekończące się ulice i place, nadbrzeża i drzewa, uspio-
ne okręty domów, płynące gigantycznym karawanem w nieznane.

To mówi Moskwa.

1961

CZŁOWIEK Z MINAP'u

Dwie młode kobiety, Anna Lwowna Kniażickaja i Wiera Iwanowna Kranc, zdjęły pantofle i rozsiadły się z nogami na tapczanie. Obie czuły się świetnie. Zjadły właśnie kolację, napiły się koniaku i zapaliły papierosa. Mąż Anny Lwowny wyjechał niedawno w podróż służbową i nikogo prócz nich nie było w mieszkaniu. Wszystko sprzyjało przyjacielskiej rozmowie i zwierzeniom. Gdy przyjaciółki przeniosły się na tapczan, rozmowa istotnie przybrała intymny charakter.

Zaczęła ją Wiera Iwanowna.

— Nie gniewaj się na mnie, Anneczko, ale muszę cię o coś spytać.

— Pytaj — leniwie odpowiedziała Anna Lwowna.

— Czy ty myślisz mieć dzieci, czy nie? Masz już, wybacz, dwudziesty ósmy rok, lata mijają, a im później, tym trudniej. Na co czekasz? Zarabiacie dobrze, warunki mieszkaniowe idealne: oddzielne mieszkanie. O co chodzi? A może zamierzasz zostać takim, jak to się nazywa... bezpłodnym figowcem? Byłaś u lekarzy?

— Po co do lekarzy? Tu chodzi tylko o Leonida.

— Jakto — on nie może? Biedulka moja!

— Gdzie tam nie może! W ciągu ostatnich dwóch lat miałam trzy skrobanki.

— Po co?

— Leonid. Wszystko przez niego. On, widzisz, chce chłopca. Chodzi mu, rozumiesz, o przedłużenie rodu. Gwarancji ode mnie żąda. A jaką ja mu dam gwarancję?... Znasz Olgę, kuzynkę Leonida? Olga przyniosła na dobitkę wiadomość, że trzeba rachować.

— Rachować? Co?

— Wiesz, organizm mężczyzny odnawia się co cztery lata, a nasz co trzy. Krótko mówiąc, kto w danej chwili ma organizm odnowiony, ten się rodzi. To jest, nie on się

rodzi, a dziecko. Jeżeli mężczyzna jest odnowiony — rodzi się chłopiec, jeżeli kobieta — dziewczynka.

— Odnowiona? Kiedy?

— Boże, co znaczy „kiedy”? W tej właśnie chwili. To znaczy w momencie poczęcia. A zresztą wszystko to są brednie. Zaczęliśmy sobie przypominać wszystkie znajome dzieci — nic się nie zgadza. Wypijemy jeszcze?

Wypiły po kieliszku, i Wiera Iwanowna zaczęła znów:

— Głupia jesteś, Aniu. Urodź mu dziecko, jakie wypadnie, z powrotem go przecież nie wepchnie.

Anna Lwowna zaczęła mrugać swymi pięknymi, krowimi oczami i rozplakała się.

— Ty go nie znasz. On tylko przy obcych taki potulny. Jak będzie dziewczynka, on mi żyć nie da. Porzuci mnie z nią razem. A on przecież człowiek inteligentny. Wieczne kursy ukończył. I zarabia dobrze, sama mówiłaś. Drugi raz za mąż nie wyjdę. Kobiet jest o 30 % więcej. Tak mówi spis ludności.

Z danymi wszechzwiązkowego spisu ludności Wiera Iwanowna polemizować nie mogła. Nalała więc tylko płaczącej koniaku i wypila z nią razem. Żal jej było przyjaciółki, a i koniak zrobił swoje, bardzo więc chciała jej pomóc. Ale była to tajemnica. Wiera Iwanowna patrzyła na beczącą Annę Lwownę i rozważała w myśli: czy jej przyjaciółka jest naprawdę tak nieszczęśliwa? Pomagając jej — myślała — oddawałaby w jej ręce swój honor i szczęście rodzinne. Pilnie strzeżona tajemnica trzepotała w jej ustach, jak złota rybka w ręku. Wreszcie nie wytrzymała:

— Aniu — powiedziała. — Aniu, przysięgnij, że nikomu nie powiesz. Przysięgnij na wszystko, co dla ciebie jest święte.

— Przysięgam — powiedziała Anna Lwowna, usiłując uświadomić sobie, co dla niej jest święte, ale prócz WLKSM¹, który niedawno z powodu wieku opuściła, nic jej nie przychodziło na myśl.

II

Przy pożegnaniu Wiera Iwanowna powiedziała:

— A więc umowa stoi: kiedy tylko Leonid wróci, dasz mi znać. Ja tymczasem przygotowuję teren...

1. WLKSM — Wszechzwiązkowy Leninowski Komunistyczny Związek Młodzieży.

Leonid Nikołajewicz wrócił wreszcie z podróży służbowej. Radosne spotkanie na dworcu, wesółą kolacja we dwoje i burzliwa, szczęśliwa noc. Rano, odprowadziwszy męża do biura, Anna Lwowna pobiegła do telefonu.

— Wieroczka, to ja. Leonid przyjechał. Tak, wczoraj. Tak. Tak. Trzy razy. Tak. Bez niczego. Tak? Już teraz? O drugiej? Ach, jak się boję! Przyjdę. Nie, nie, przyjdę na pewno. W co mam się ubrać? Trzeba się przecież ładnie ubrać. A, Wieroczka, jak ci nie wstyd! Mówimy przecież serio. Z guzikami? Beżowa, zapinana na guziki, wiesz, z okrągłym wycięciem. No, tymczasem.

...Przed dzwiami Anna Lwowna otworzyła torebkę, upudrowała się i nacisnęła dzwonek. Drzwi otwały się natychmiast, i Wiera Iwanowna, wzięwszy przyjaciółkę pod rękę, wprowadziła ją do jadalnego pokoju. Przy stole, nakrytym na trzy osoby, siedział młody człowiek. Oparty niedbale o poręcz krzesła, bawił się wiekiem metalowej cukiernicy i palił papierosa z filtrem.

— Proszę bardzo — powiedziała Wiera Iwanowna. — To jest Wołodia Zaleskij, a to Anieczka. Już wam obojgu jednemu o drugim mówiłam, jesteście więc niejako zaocznie znajomi.

— Ale naoczna znajomość przewyższa wszystkie moje oczekiwania — powiedział obojętnie Wołodia.

— Anieczka, Wołodia, proszę jedzcie. Wołodia, nalejcie wina. Nie ma co, jesteście tu jedynym mężczyzną, musicie popracować.

— Gotów do pracy i obrony kraju — tymże głosem speakera z radia odpowiedział Wołodia i nalał wina do kieliszków.

— I do działań zaczepnych też? — spytała zalotnie Wiera Iwanowna.

— Zawsze gotów — odparł Wołodia, nie podtrzymując żartobliwego tonu gospodyni i odpowiadając po prostu na pytanie.

Wołodia jadł bez pośpiechu. Pedantycznie zdierał skórkę z kiełbasy i odcinał wystające poza bułkę kawałki szynki. Z okrawków zrobił potem nową kanapkę, pokrytą mozaiką z wędliny.

Rozmowa toczyła się o amerykańskiej *Ice Review*, a gdy zjedzono i wypito niemal wszystko, Wiera Iwanowna spojrzała na zegarek i nienaturalnym głosem zawołała:

— Ach! Ach, zapomniałem zupełnie. O czwartej mam przysmarę. Drodzy przyjaciele, posiedźcie tu chwilę, za-

bawiajcie się nawzajem. Anieczko, pokaż Wołodi mieszkanie.

Wiera Iwanowna sfrunęła. Zamek u drzwi wejściowych zatrzasnął się, jak wystrzał pistoletu na starcie. Wołodia, jak gdyby czekał na ten sygnał, wstał.

— Znacie mieszkanie Wiery? — bąknęła Anna Lwowna.

— Tak. Sypialnia jest tam — odpowiedział i wzięwszy ją pod rękę popchnął łagodnie w kierunku drzwi.

W sypialni wziął ją fachowo za pierś, podnosząc ją, jak gdyby badał jej wagę. Potem odwrócił ją plecami i zaczął odpinać guziki sukni. Na tym skończyły się zaloty. Wołodia zdjął marynarkę, poszukał wzrokiem wieszadła i, nie znajdując go, powiesił ją na poręczy krzesła. Potem zdjął spodnie i rzucił roztargnione spojrzenie na Annę Lwownę.

— No?

Anna Lwowna zaczęła się rozbierać posłusznie, jak u ginekologa. Leżąc zamknęła oczy i szepnęła nachylonemu nad nią Wołodi:

— Chłopca...

— Wiem. Wiera uprzedziła mnie.

III

Wiera Iwanowna poznała Wołodię Zaleskiego na Krymie, w uzdrowisku. Zebrało się tam przyjemne towarzystwo, nastrój był wesoły i beztroski. Zawiaływały się i rozwiązywały niezliczone romanse. Kochano się gorliwie, nie szczędząc trudu. Wkładano w to zajęcie cały nie roztrwoniony na państwowej służbie entuzjazm pracy. Wszyscy spieszyli się, jak gdyby zaraz po skończeniu urlopu nastąpić miał koniec świata. Dowcipnisie mówili: „wszystko jedno — bomba atomowa”, inni romansowali po prostu, nie powołując się na sytuację międzynarodową.

Raz Wiera Iwanowna, w przerwie między rozrywkami, zaczęła opowiadać Wołodi o swej rodzinie. Jakaś fatalna siła każe kochankom, w pewnej fazie ich intymności, opowiadać sobie wszystkie tajemnice swych mężów i żon. Nie wiem, czy jest to tradycja, nieznanymi drogami przekazywana z jednego pokolenia letników w drugie, czy też potrzeba organizmu. Cokolwiek o tym myśleć, Wiera Iwanowna za-

poznała Wołodę szczegółowo z intymnymi zwyczajami Siemiona Mojsiejewicza. Chwaliła jego męskie zalety i dbałość o rodzinę („Wiesz, wszyscy Żydzi stworzeni są do życia rodzinnego”) i z rozrzewnieniem powtarzała zabawne powiedzenia czteroletniego syna. Wreszcie zwierzyła się:

— Przydałoby się nam jeszcze jedno dziecko, ale chcielibyśmy z Siomą, żeby to była dziewczynka...

— Gdybym był twoim mężem, zrobiłbym to jak na zamówienie: chcesz — dziewczynkę, chcesz — chłopaka.

Wiera Iwanowna roześmiała się.

— Chcesz — bliźnięta — z pijanym uporem twierdził Wołodzia (wieczorem oboje upili się winem z Massandry), chcesz — trojaczki: dwóch chłopców i dziewczynkę albo dwie dziewczynki i chłopca...

— A hermafrodytę też możesz?

— Ja mówię na serio.

Wołodzia, obrażony, zerwał się i stanął nago na łóżku. Wiera Iwanowna widziała go teraz z dołu do góry.

— Nie patrz tam, ale tu — zawołał Wołodzia i uderzył się w czoło.

— No, dobrze, dobrze, połóż się. Coś ty tak wystrzelił jak rakietą?

Następnego dnia, gdy wracali razem z plaży, Wiera Iwanowna nagle roześmiała się.

— Wołodzia, pamiętasz coś ty mi wczoraj plótł po pijanemu?

— Wcale nie po pijanemu.

— Jak to nie po pijanemu?

— Ot tak.

Wołodzia oderwał od drzewa korkowego kawałek kory, powąchał go machinalnie i powiedział:

— Ja rzeczywiście mogę... to jest... mogę spłodzić kogo zechcę...

...Wszystko to działo się przed trzema laty. Wkrótce potem oboje wyjechali do Moskwy. Wiera Iwanowna wróciła w objęcia męża, nie zapomniała jednak, Wołodi, który odwiedzał ją nieraz w godzinach pracy Siemiona Mojsiejewicza.

Krancowie mają dziś czarującą dwuletnią córeczkę Li-dię.

Wiera Iwanowna na tym nie poprzestała. Niezwykłe uzdolnienie Wołodi nie powinno było marnować się w oczekiwaniu dalekiego, ukrytego w mgłach nieokreślonej przyszłości dnia, kiedy Wołodzia się z kimś ożeni. „Ile ro-

dzin cierpi — myślała Wiera Iwanowna — ile małżeństw byłoby uszczęśliwionych, gdyby Wołodia chciał się... wmieszać w ich sprawy. Powinnam im pomóc. Jest to nawet moim obywatelskim obowiązkiem” — odpowiadała urojonemu oponentowi. Żyłkę społeczną miała od pionierskich czasów. Przystępując do wykonania swego projektu, czuła się trochę jak Joanna d’Arc przy apolitycznym Karolu VII. Zaczęła więc przekonywać Wołodię, że nie ma prawa marnować swego talentu, że nie po to kraj żywił go i kształcił. Wołodia wahał się lecz gdy Wiera Iwanowna powiedziała mu, że właśnie on, Wołodia Zaleskij, powołany jest do urzeczywistnienia hasła Miczurina „Nie możemy czekać na jałmużnę przyrody”, i gdy wreszcie, poprawiając ramiączko koszuli, zawołała: „Wołodia, jesteś przecież komsomolcem” — zgodził się.

Kniażiczcy byli siódmym z kolei małżeństwem, w stosunku do którego Wiera Iwanowna i Wołodia spełnili swój obowiązek.

IV

Gdy Wiera Iwanowna wróciła do domu, Wołodi już nie było. Anna Lwowna sprzątała ze stołu, i tylko zadumany, skupiony wyraz twarzy świadczył o doniosłości jej przeżyć. Z najżywszym współczuciem Wiera Iwanowna zaczęła ją wypytywać i, wysłuchawszy szczegółowego sprawozdania, objęła ją i pocałowała z takim mniej więcej uczuciem, z jakim całowała syna, ucznia I-ej klasy, dowiadując się, że otrzymał piątkę z kaligrafii. Z zadowoleniem przyjęła przy tym do wiadomości, że Wołodia nie bałamucił zbytnio jej przyjaciółki dodatkowymi oznakami sympatii, które, jakkolwiek nawet nieistotne, są niemniej przyjemne.

— Na kiedy teraz umówiliście się? — zapytała.

— Myśmy się nie umawiali — odpowiedziała zmieszana Anna Lwowna.

— Jak to nie umawialiście się — oburzyła się Wiera Iwanowna. — Ty, Aniu, słowo daję, jesteś zupełnie jak dziecko! Trzeba przecież powtórzyć!

— Po co?

— „Po co, po co!” Po to, żeby było pewne.

— Tak — mówiła w zamyśleniu Anna Lwowna —

istotnie. Kiedy stanowiono Dżildę — owczarkę sąsiadów — prowadzono ją dwa razy.

— Psów się nie stanowi, ale pokrywa — powiedziała pouczająco Wiera Iwanowna — ale nie o to chodzi. Przyznaj, Aniu, że jesteś niezaradna.

— Wieroczka, nie gniewaj się. Ja przecież... jak by to powiedzieć... pierwszy raz zdradzam męża.

— Każda musi to kiedyś pierwszy raz zrobić. Ale to przecież nie jest zdrada.

— Tylko co?

— Jak by ci to wytłumaczyć... No, powiedzmy, jeżeli ci się zepsuje lodówka, nie zwrócisz się z tym do Leonida, ale do majstra. U kogo zamawiałaś meble do kuchni? U stolarza. On je zrobił, a potem ty z Leonidem używaliście ich. Rozumiesz? Robił je specjalista. Wołodia też jest specjalistą.

W rzeczy samej, naprawy lodówki Anna Lwowna nie powierzyłaby mężowi; oszkloną szafę w kuchni zrobił też nie on, ale specjalista. Anna Lwowna uspokoiła się.

Zbesztawszy przyjaciółkę za lekkomyślność, Wiera Iwanowna stelefonowała się z Wołodią. Spotkanie wyznaczono na środę, ale we wtorek w przedszkolu wybuchł koklusz, i Wiera Iwanowna musiała zostawić córeczkę w domu, co z kolei zmusiło Annę Lwownę do zaproszenia Wołodi do siebie. Postąpiła oczywiście, nieostrożnie, ale co mogła zrobić innego? Na rozpustnym Zachodzie kochankowie mogą iść na randkę do pierwszego lepszego hotelu. Wchodzą i mówią: „Wy jesteście Mister dyżurny administrator? Dzień dobry. Ja jestem niby Thomas czy Alfred Hopkins, a to jest niby moja ślubna żona, Madame Hopkins. Jesteśmy niby małżeństwem. Proszę nas zbudzić za trzy godziny”. O paszport nikt nie pyta, idą więc wprost do numeru i tam, w przerwach między innymi przyjemnościami, popijają sobie koniak. A kto bogatszy, może sobie nawet kawalerskie mieszkanko wynająć. U nas do hotelu wpuszczają tylko przyjezdnych, a jeżeli są płci odmiennej, patrzą, czy w paszporcie odnotowana jest rejestracja małżeństwa. A co się tyczy mieszkań, daj Boże, żeby ich dla małżeńskich stosunków starczyło...

A przecież trzeba znajdować jakieś wyjście z tej sytuacji. Radzę szukać neutralnego terenu, bo do siebie zapraszać nie wolno. Nie wolno chodzić do jej czy jego domu. Nie wolno! Przyłapie was mąż lub żona, i udawaj głupiego,

tłumacz, że omawialiście razem program Partii Komunistycznej Związku Sowieckiego...

W środę Leonid Nikołajewicz Kniażickij przypomniał sobie w biurze, że w szufladzie biurka zostawił w domu niezwykle rzadkie etykiety od zapalek, które miał ofiarować swemu szefowi. Po długich latach pracy w oddziale kadr, Leonid Nikołajewicz został przeniesiony na wysokie stanowisko administracyjno-gospodarcze i musiał jak najprędzej nawiązać z nowym przełożonym kontakt osobisty. Przerwa obiadowa zbliżała się, i Leonid Nikołajewicz postanowił skoczyć szybko do domu, zjeść tam coś na prędkę i wrócić z prezentem dla szefa. Ułożywszy ten plan, niezwłocznie przystąpił do jego wykonania.

Wszedłszy na trzecie piętro, Kniażickij otworzył swoim kluczem drzwi, zamknął je cichutko i na palcach wszedł do korytarza. „Teraz ją przestraszę” — pomyślał z zadowoleniem. No i przestraszył ją rzeczywiście. Gdy skrzypnęła klamka u drzwi do sypialni, rozległ się stamtąd histeryczny krzyk:

— Kto tam?!

— Anieczko, to ja!

— I, chcąc uspokoić żonę, Leonid Nikołajewicz otworzył na roścież drzwi...

...Nie wiem, co poczuł Leonid Nikołajewicz, zastawszy prawowitą małżonkę w sytuacji, w której, jak pisze się w gazetach, „wszelkie komentarze są zbyteczne”; na szczęście nigdy dotąd nie byłem w jego położeniu. Wiem natomiast doskonale, co przeżywał niewinny w gruncie rzeczy Wołodia Zaleskij. Brrr... takie rzeczy straszno nawet wspominać. Przed minutą miało się tylko jedno życzenie, a teraz życzeń do diabła i trochę, i w dodatku sprzecznych, wykluczających się nawzajem. Chciałoby się i ubrać jak najprędzej i wołać: „Jestem niewinny! Wszystko to wymyśliła obywatelka żona wasza!”. I chciałoby się wyskoczyć przez okno, i wspomina się piętra, wystukiwane przez windę, gdy jechało się nią w górę, z bukietem schowanym do teczki, żeby dozorca nie widział. I przez cały czas myśli się: „Byłe tylko nie w mordę, bo ślady zostaną!”.

Leonid Nikołajewicz stał przed pooranym we wszystkich kierunkach łóżem małżeńskim i milczał. Gniew wzbierał w nim, twarz czerwieniała mu coraz bardziej i gdy wreszcie przybrała barwę dzieł zebranych W.I. Lenina w czwartym (nie trzecim) wydaniu, Leonid Nikołajewicz zrobił krok i skomenderował:

— Dokumenty na stół!

Plącząc się w spodniach, Wołodia sięgnął do wiszącej na poręczy krzesła marynarki.

V

W ciągu trzydziestu lat istnienia Minapu sala aktowa nie była jeszcze nigdy tak przepełniona. Byli tam nie tylko słuchacze i profesorowie, ale także przedstawiciele Rajkomu, Komsomołu, Rajkomu Partii, korespondenci pism młodzieżowych, a wreszcie znajomi studentów i wykładowców. Krzesła zniesiono ze wszystkich audytoriów i gabinetów, lecz mimo to publiczność siedziała na schodach, na parapetach okien i tłoczyła się w przejściach i drzwiach. Gwar wypełniał salę; brak bliższych wiadomości podniecał wyobraźnię. Skromny komunikat, wypisany wersalikami na kawałku rysunkowego papieru, głosił: „26 marca o piątej popołudniu odbędzie się otwarte posiedzenie Komsomołu. Porządek dzienny: sprawa osobista studenta IV-go kursu, komsomolca W. Zaleskiego”. Z początku nikt nie wiedział, o co chodziło, potem jednak, nie wiadomo jak, rozszedł się słuch: „Wołodę złapano z cudzą żoną”. Lekkomysłni koledzy zamierzali zrobić obstrukcję. Urażone w swych uczuciach koleżanki były zdecydowane osądzić Zaleskiego według wszelkich kanonów komsomolskiej moralności. Starsi profesorowie ożywili się i, znacząco pochrząkując, opowiadali sobie nawzajem grzechy młodości.

Gdy wreszcie na sali pojawił się znany w całej Moskwie dziennikarz, specjalista od spraw komsomolskiej miłości i przyjaźni, gdy na estradzie ukazały się spalone twarze działaczy Rajkomu, i gdy na salę wszedł sam dyrektor Instytutu, laureat wielu nagród i doktor rozlicznych nauk, członek Akademii Ogłojedow, wszyscy obecni zrozumieli, że zanoszą się na coś niezwykłego.

Ach, te ostatnie minuty przed rozprawą, ta cisza przed burzą! Ciągną chmury w ciemnych marynarkach i jasnych krawatach, głucho grzmiały barytony przy stole prezydyjnym, gwar na sali ucichł. Jeszcze chwila i błysną wściekle czyjeś okulary ze szklami — 3 dioptrie, słuchacze, jak trawa pod wiatrem, pochylały się na poręczach stojących przed nimi krze-

seł, uderzy piorun, i na tezy mówców padną pierwsze krople śliny...

Wołodia siedział przed samą estradą. Mimo tłoku oba sąsiednie krzesła były puste... Wreszcie zaczęło się.

— „Towarzysze! Do biura Komsomołu naszego Instytutu wpłynęło oświadczenie pracownika jednego z moskiewskich urzędów, towarzysza Kniażickiego. Pozwalam sobie podać je do waszej wiadomości: 'Szanowni towarzysze, członkowie biura komsomolskiej organizacji! Zwracam się do was z prośbą o zbadanie antyspołecznej działalności waszego studenta Zaleskiego, Władimira Albertowicza, urodzonego w roku 1935. Wymienionego Zaleskiego, Władimira Albertowicza, zastałem w środę 2 marca rb., o godz. 13.30 czasu moskiewskiego, w moim własnym mieszkaniu, w chwili gdy z moją żoną, Kniażicką Anną Lwowną, naruszał jej wierność małżeńską. Jako członek Partii od 1949, nie mogę przejść obojętnie koło oburzającego faktu, że ob. Zaleskij powinien był w owej chwili znajdować się na lekcji socjalistycznej ekonomii, jak wynika z rozkładu godzin, wywieszzonego w przedsiönku Instytutu. Zamiast tego, Zaleskij rujnował sowiecką rodzinę w stanie zupełnej nagości, jeśli nie liczyć trykotowej koszulki bez rękawów. Ale nie koniec na tym, towarzysze komsomolcy moskiewskiego Instytutu! Na moje pytanie, dlaczego tak postępuje, żona moja, Kniażickaja Anna Lwowna, odpowiedziała, że zrobiła to tylko dla dobra rodziny, ponieważ ob. Zaleskij jest specjalistą od płodzenia noworodków płci męskiej. Jest to oszustwo niegodne sowieckiego studenta, a tym bardziej komsomolca, ponieważ lekarz z 18-letnią praktyką, którego się radziłem, powiedział, że z góry nie może nic wiedzieć. Następnie żona moja, która wkrótce będzie była żoną, przyznała się, że ob. Zaleskij naruszył jej wierność małżeńską dwukrotnie. Po raz pierwszy miało to miejsce w mieszkaniu jej znajomej Kranc W.I., której mąż, jedząc rosyjski chleb, zajmuje się szachrajstwem w dziedzinie aprowizacji itd. Według mego zdania, dla takich jak Zaleskij W. A. nie ma miejsca w sowieckim instytucie ani w szeregach sowieckiego społeczeństwa, dążącego, jak mówi program Partii, do komunizmu. Kniażickij L.N. O decyzji proszę mnie zawiadomić pod wskazanym adresem' ”.

Na sali panowała nieopisana wrzawa. Już w połowie lektury czytający musiał wytężyć głos, pod koniec zaś po prostu krzyczał. Sekretarz biura Komsomołu na próżno dzwonił szklanką o karafkę, na próżno wznosił do sufitu swe

białe mankiety. Zebrani przywitali oświadczenie obrażonego męża rykiem, świstem i nieprzewidzianymi porządkami dziennym przejawami wesołości. Ale wszystko ma swój koniec. W zwartym murze wrzawy, jak niegdyś w pańszczyźnianej twierdzy, zaczęły się tworzyć szczeliny i wyrwy, i w jedną z nich wdarł się starczy bas członka Akademii Ogłojedowa.

— Wstyd mi! — zagrzmiął uczony i audytorium uci-
chło. — Dziwnie mi i straszno słuchać, jak wy, studenci
sowieccy, wy, młodzi, którzy będziecie żyli w epoce komu-
nizmu, jak wy nihilistycznym śmiechem odpowiadacie na
krzyk duszy! Obrażono i poniżono naszego towarzysza w
walce o świetlaną przyszłość, obrażono i poniżono człowieka
i obywatela! Jaką miarą zmierzymy gorycz, przenikającą te-
raz całe jego jestestwo! Jaką miarą zmierzymy krzywdę wy-
rządzoną społeczeństwu przez zniszczenie rodziny! Ach, przy-
jaciele! Oświadczenie towarzysza Kniażickiego nie ma być
może zalet literackich, grzeszy nawet być może przeciw nie-
wzruszonym zasadom rosyjskiej gramatyki, ale... ale on,
prosty człowiek sowiecki, apeluje do waszych uczuć obywa-
telskich, do waszej sowieckiej moralności... i ma rację! My,
przede wszystkim my, niesiemy odpowiedzialność za to,
że przeoczyliśmy w naszych szeregach człowieka o obcej
nam ideologii. Wspomnijcie słowa Majakowskiego: „Dotąd
dużo takich chodzi, amatorów naszych żon”. I do jakich
wybiegów uciekają się ci współcześni donżuani, polujący
na łatwe sukcesy! On, pomyślcie tylko, może ustalać płeć
mającego się narodzić dziecka? Sowiecka, pierwsza w świe-
cie, nauka tego nie potrafi, a on, student Władimir Zaleskij,
potrafi! On przeniknął wszystkie tajemnice przyrody! Wstyd,
wstyd, towarzyszu Zaleskij! Ale nas te idealistyczne pod-
stępny nie oszukają, jak oszukały ofiarę waszej rozważności.
Jestem pewien, że nasza społeczność, że nasz młody, zdrowy
kolektyw wyda surowy wyrok na oszusta, który okrył hań-
bą mury naszego Minapu!

Ogłojedow usiadł, sapiąc. Na sali zapanował znów gwar,
ale tym razem bez wesołego ożywienia. Postępek komsomol-
ca Zaleskiego ukazał się zebranym w całej swej brzydo-
cie.

— Głos ma komsorg IV-go kursu!

— Towarzysze! — zaczął komsorg. — Będę zwięzły.
Popatrzcie tylko na niego! Popatrzcie na Władimira Zaleskie-
go! Jakie jest oblicze moralne tego, za przeproszeniem, kom-
somolca? Takie same jak jego wygląd zewnętrzny. A jaki

jest jego wygląd zewnętrzny? Wąsiki! Nylonowa koszulka! Wąziutkie spodenki! I co się za tymi spodenkami ukrywa?

— To co u wszystkich — ponuro powiedział Wołodia.

— Wcale nie, wcale nie, towarzyszu Zaleskij! My nie chowamy się za spodenki jak stiliagi! Nie mamy nic do ukrywania przed społeczeństwem!

— Może ty nie masz nic do ukrywania — rozległ się głos z tylnych rzędów.

Sala zatrzęsała się od śmiechu.

— Proszę zaprzestać tych demagogicznych wycieczek! Nie chwytajcie mnie za słowa! — wściekł się komsorg. Kto nie był na omówieniu powieści Kożewnikowa „Witajcie, Bałujew!”? Zaleskij. Kto 8 marca w stanie nietrzeźwym powiedział nauczycielce angielskiego: „Pieszczotko”? Zaleskij. Kto też dał mu prawo nazywania kobiety „pieszczotko”, niby w jakimś Chicago? Gdzie byliście, towarzyszu Zaleskij, gdy cały kurs jak jeden człowiek, był na sobotniej pracy ochotniczej?

— Byłem chory.

— Ale do chodzenia po cudzych mieszkaniach jesteście zdrowi?! Proponuję: wykluczyć Zaleskiego z Komsomołu! Wypalić go czerwonym żelazem z naszych szeregów! Poruszyć w administracji sprawę dalszego przebywania Zaleskiego w Instytucie! Skończyłem.

— Proszę o głos!

W jednym z pierwszych rzędów podniosła się młoda kobieta. Była to aspirantka Ninoczka Armijanowa. Mrużąc krótkowzroczne oczy, uśmiechnęła się do przewodniczącego.

— Chciałabym zadać studentowi Zaleskiemu kilka pytań. Powiedźcie, Zaleskij, co skłoniło was do tak dziwnego i nienaukowego oświadczenia? Mam na myśli przypuszczalną płć dzieci. Interesuje mnie to z punktu widzenia psychologicznego. Wy przecież nie możecie wierzyć w takie bajki?

— To nie są bajki — powiedział Wołodia i obejrzał się. Zebranie patrzyło nań tysiącem oczu, mieniących się jak w kalejdoskopie odcieniami drwiny, współczucia, szderstwa i zdumienia. — „Dranie — pomyślał Wołodia. — Co robić? Wypędzą na pewno, wypędzą z wilczym biletem...”.

— To nie bajki — powtórzył. — Nie jestem żadnym donżuanem, a co do wąskich spodni, to teraz wszyscy takie noszą.

— Nie wszyscy — przerwał komsorg. — Nie wszyscy...

Ale nie dano mu mówić.

— Nie przeszkadzaj!

— Powiedziałeś raz, i dosyć!

— Zaleskij, mów dalej!

— Ciszej — zaklinał sekretarz biura. — Mówcie, Zaleskij, ale o przedmiocie sprawy. O spodniach, jeżeli będzie trzeba, przeczytamy w gazecie...

— Nie jestem żadnym donżuanem — ciągnął dalej Wołodia — ale gdy kobiety proszą, nie mogę odmówić.

Na sali zapanowała cisza jak na wykładzie.

— Ja, towarzysze, mam takie uzdolnienie. Ale się z nim sam nie narzucam. To one do mnie dzwonią i zostawiają swoje numery telefonu. Mam na to świadków! — zawołał nagle. — Spytajcie ich, jeżeli mnie nie wierzycie! — i wyciągnął z kieszeni notatnik. — Kranc, Wiera Iwanowna — K 6-32-11! Sawczenko, Łarisa Michajłowna — D 7-11-81! Liesielidze, Tamara Georgjewna — Ż 2-37-18, dodatkowy 2-0-2! Chawlina, Lija Ernestowna... Ratner, Wasilij Siergiejewicz, pytać o Olgę Charitonownę... Wszystkie... Dzwoncie do nich sami! Zobaczycie, jaki ze mnie donżuan! Ludzie proszą... Ja siebie nie szczędzę, sił nie żałuję... Chłopiec czy dziewczynka, mnie wszystko jedno...

Czytano oświadczenie Książickiego, dyrektor Instytutu grzmiał basem, partorg IV-go kursu zachłystywał się gniewem sprawiedliwego, Wołodia wykrzykiwał, a tymczasem partorg Instytutu, Dmitrij Pietrowicz Bronin, siedział w milczeniu i gryzmolił coś w notatniku. W tym, co słyszał, nie było dlań nic nowego: rozmawiał już obszernie z Książickim i z pogrążoną w rozpacz Anną Lwowną, odwiedził był również w domu Wierę Iwanownę Kranc.

Od samego początku tej zagadkowej historii Bronin czuł dziwny popłoch i niezdecydowanie. Co robić? Instynkt nie zawodził go dotąd nigdy, tym razem jednak czuł się jak grający w „21”, który ma w karcie 15 punktów. Dokupić czy nie? Dobrze jeżeli przyjdzie figura lub szóstka, ale jeżeli będzie to coś innego? A jeżeli przyjdzie as i powie: „Za dużo! Za dużo dokupiliście, towarzyszu Bronin! Nie przemyśleliście tego i zepsuliście grę!”. Partorg próbował

spisać punkty swego przemówienia, ale myśli jego płatały się bezładnie: „Cała nasza społeczność dąży wszystkimi środkami do wzmocnienia sowieckiej rodziny — a nawiasem mówiąc ta Kniażickaja jest wcale przystojna — postępek komsomolca Zaleskiego stoi w jaskrawej sprzeczności ze wszystkimi nakazami etyki — ale jak on to, u diabła, robi? — idiotyczny pretekst dla uśpienia czujności młodej kobiety — trzeba zmusić chłopca do wyjawienia nam wszystkich swoich „sposobów” — moralność nie jest pustym dźwiękiem i nie pozwolimy — bo i to prawda: jeżeli nie urodzi się chłopiec, to „byłby chłop na schwał, ale same córki miał” — sprawa Zaleskiego jest głębsza i poważniejsza, niż by się to mogło wydawać — powtarzając niedorzeczną brednię o swych nadprzyrodzonych możliwościach, Zaleskij leje wodę na młyn idealistów, podrywa wiarę w naukę i w rezultacie robi nam prawdziwą dywersję ideologiczną — urządził się nieźle, baby go karmią, poją, pewnie i pieniądze mu dają — nie wątpię, że Zaleskij musiał być także zainteresowany materialnie, bo takie typy niczym nie gardzą — a ja tej dziwce dałem 50 rubli — nie ma dla nich miejsca w sowieckim Instytucie — ale jak on to robi? — stiliaga i pasożyt — napiętnować — ech, ja bym tę sprawę inaczej poprowadził, ja bym...”.

Tu Bronin nagle zamarł, zastygł z otwartymi ustami, olśniony genialną w swej prostocie myślą! Starając się nie zwracać na siebie uwagi, wydostał się zza stołu i na palcach skierował się ku drzwiom. Tam obejrzał się trwożnie na prezydium — a nuż ktoś inny wpadł również na tę myśl? — i prześlizgnąwszy się przez drzwi pobiegł truchtem do swego gabinetu zamknął drzwi na klucz i wziął słuchawkę telefonu.

— Proszę z towarzyszem Wołkowym... Nie, z towarzyszem Wołkowym osobiście. Tak pilne... Mówi Bronin, partorg Minapu... M.I.N.A.P. Moskiewski Instytut Naukowej Profanacji... Tak, bardzo pilne... Tak, on mnie zna... Dziękuję.

Wracając w 10 minut później na zebranie, Bronin stwierdził, że zdążył na czas. Wykładający historię Partii siwołosy półgłówek mówił właśnie z uroczystą gestykulacją:

— ...Niech wyjdzie, niech powie. Jeżeli obstaje przy swoim że tak powiem, szczególnym powołaniu, niech opowie kolektywowi, na czym ono właściwie polega. Proszę was, towarzyszu Zaleskij.

Wołodia znów wstał, lecz nie zdążył jeszcze otworzyć

ust, gdy Bronin wyprostował się i stanowczym głosem oświadczył:

— Sprzeciwiam się kategorycznie! Niech mi czcigodny Walerian Wikientjewicz wybaczy, ale uważam za niedopuszczalne, aby nasza trybuna miała służyć do propagowania przesądów. („Co, połknąłeś i to, stary cymbale’’?). Nas, ludzi nauki, nie interesują mistyczne domysły Zaleskiego. Nie uda mu się udawać niewiniątka i oczerniać sowieckie kobiety-pracownice! — I niespodzianie zakończył: — Proponuję zrobić przerwę. A wy, Zaleskij, chodźcie tymczasem to mego gabinetu.

I, pochyliwszy się, szepnął zmienionemu w słuch przedstawicielowi rajkomu Partii:

— Zebranie trzeba będzie zawiesić... Tylko co mówiłem z towarzyszem Wołkowym...

W 20 minut później czarny Zim zajechał przed gmach Minapu. Gdy Bronin i Zaleskij zajęli w nim miejsca, Zim przysiadł na tylnych łapach i lekkim skokiem pomknął na przód, rozbryzgując mokry śnieg na buty milicjantów.

VI

— Teraz, towarzysze, posłuchamy, co powie nam medycyna.

Profesor, wysoki, łykowaty mężczyzna z opaloną słońcem łysiną, odkasznął i, widomie onieśmielony, zaczął w te słowa:

— Moi koledzy polecili mi zakomunikować wam, towarzysze, wyniki wszechstronnego badania lekarskiego, jakiemu poddany został... eee... przepraszam, nam nie powiedziano nazwiska pacjenta i nawet... jak to powiedzieć... radzono się nim nie interesować...

— Nazywajcie go „człowiekiem z Minapu”.

— Dziękuję wam... Tak więc, zbadany przez nas... człowiek z Minapu jest naszym zdaniem zupełnie zdrow. Serce, płuca, przewód pokarmowy i system nerwowy są w doskonałym stanie. Słowem, młody człowiek w godnym za zdrości stanie zdrowia. Co się zaś tyczy szczególnych osobliwości, przejawiających się rzekomo przy stosunkach płciowych, mamy tu według wszelkiego prawdopodobieństwa do

czynienia z jednym ze schorzeń psychicznych, związanych z seksualnym...

— Towarzyszu profesorze, powiedźcie po prostu, czy nauka dopuszcza możliwość takiego zjawiska?

— Nauka twierdzi, że przy spółkowaniu żadna ze stron nie tylko nie może mieć wpływu na płęć przyszłego dziecka, ale nie może jej również przewidzieć. Co się zaś tyczy środków, przy pomocy których... człowiek z Minapu reguluje, jego zdaniem...

— Zaczekajcie, towarzyszu profesorze, bądźcie łaskawi zapoznać się z tymi tu dokumentami.

— Zaraz, przepraszam, moje okulary... Aha, oto są... Tak. „Protokół przesłuchania”... Proszę?

— Nic, nic, czytajcie.

— „...dziewczynkę, stosownie do poprzedniej umowy... Odpis metryki załącza się... Stosownie do jego obietnicy, urodził się chłopiec... Odpis metryki... Dwie dziewczynki i chłopiec, tyle właśnie, ile trzeba do otrzymania mieszkania... Odpis metryki... Odpis zlecenia przydziału mieszkania... Cierpiąc na impotencję, wyraziłem zgodę na... raczej w mojej obecności, niż na stronie... Odpisy...”.

— Co powiecie o tym, towarzyszu profesorze?

— Darujcie, ale nic nie rozumiem... Te dokumenty...

— Bądźcie spokojni, profesorze. Naruszenia praworządności sowieckiej tu nie było. Towarzyszu Wołkow, kto opracował te materiały?

— Podpułkownik Sazan i major Prochorow.

— Wyrażcie im podziękowanie.

— Słucham, Pawle Piotrowiczu.

— Tak więc, profesorze, fakty są, a ich naukowego objaśnienia jeszcześmy nie słyszeli.

— „Wiele jest rzeczy na świecie, przyjacielu Horatio, o których się nie śniło filozofom”.

— Co? Jaki Horatio?

— Przepraszam, to z Szekspira. Cytata.

— Aha. No a teraz opowiedźcie nam, jak on to robi.

— W tej chwili. A więc chory... przepraszam, człowiek z Minapu twierdzi, że gdy w określonym celu wykonuje coitus, stara się wysiłkiem woli wywołać w swej wyobraźni oblicze...

— No?

— Oblicze, za przeproszeniem, Karola Marksa. Powtarzam tu jego własne słowa: „twórcy naukowego socjalizmu, Karola Marksa”.

— A jeżeli ma być dziewczynka?

— Wówczas twarz Klary Zetkin. Dwu zaprojektowanym chłopcom odpowiadają dwie twarze Marksa, trzem — trzy i tak dalej. Przeprowadziliśmy szereg doświadczeń w celu zbadania pamięci wzrokowej pacjenta i otrzymaliśmy zdumiewające wyniki. Po dwóch — trzech minutach obserwowania w skupieniu zupełnie nieznaney twarzy człowiek z Minapu dawał nam jej dokładny portret słowny. Jeżeli przyjmujemy jako roboczą hipotezę że może on istotnie wpłynąć na płęć dziecka, wówczas na szczególną uwagę zasługiwać będzie pytanie: jak może w takiej chwili myśleć o czymś postronnym, o Marksie? To jest, chcę powiedzieć, postronnym w danej sytuacji. Trudno jest w takiej chwili oderwać się i, że tak powiem, emancypować od celu naszych wysiłków. Nieprawdaż?

— Hm... Istotnie nieco trudno... A co on mówi o tym, jak wpadł na ten pomysł?

— Widzicie, on objaśnia to tak. Kiedy we wczesnym dzieciństwie zapytał rodziców, jak się rodzą dzieci — pytanie, jak wiecie, często stawiane przez nasze pociechy — powiedziano mu, że jeżeli myśleć z uporem o chłopcu lub dziewczynce, wówczas rodzi się chłopiec lub dziewczynka. Z czasem doszły doń naukowe wiadomości o tym przedmiocie, w popularnej, oczywiście, formie. I wreszcie, gdy po raz pierwszy miał — jak to nazywa — „wzajemny stosunek” z kobietą, przypomniały mu się jego dziecinne pojęcia, no i... spróbował. A ponieważ trudno sobie wyobrazić chłopca abstrakcyjnego, wyobraził sobie konkretnego Marksa z brodą, sztywnym gorsem, pince-nez i innymi atrybutami.

— A jak on to sprawdził?

— Przez poronienia. Po trzech miesiącach cechy płciowe płodu są wyraźnie widoczne. Człowiek z Minapu twierdzi, że dotąd zdarzyła mu się tylko jedna omyłka, gdy zamiast Klary Zetkin przywidział mu się pisarz Fiodor Gładkow.

Oczywiście, odnieśliśmy się do jego wyjaśnień sceptycznie, ale nie znaleźliśmy jeszcze wówczas tej dokumentacji...

— Tak. Na ogół, towarzyszu profesorze, sprawa jest jasna. Dziękujemy. Nie zatrzymujemy was dłużej. Pracujcie, badajcie, a jeżeli będzie wam coś potrzebne, zwracajcie się do mnie. Towarzyszu Wołkow, odprowadźcie profesora.

Profesor sztywno skierował się ku wyjściu, i za drzwiami dało się słyszeć jego głośne „uf”.

— No i co, towarzysze? Myślę, że trzeba przejść do wniosków praktycznych. Powinniśmy spojrzeć na tę spr-

wę z ołówkiem w rękę, po gospodarsku. Nasamprzód trzeba wyjaśnić, czy on potrafi nauczyć tego innych. Jeżeli potrafi, będziemy mogli przystąpić do planowego płodzenia dzieci. Ustalimy ściśle program produkcji odzieży, obuwia, biustonoszy i damskich rowerów. W ciągu 18-20 lat wyrównamy ilość mężczyzn i kobiet, aby każdy miał według potrzeb. A za bezżeństwo — pod sąd! Czy tak, towarzysze? Jeżeli nie tak, poprawiajcie mnie, wysuwajcie propozycje. Wasilij Siemionycz, czy dobrze mówię?

— Słusznie, Pawle Piotrowiczu! Wspaniałe perspektywy rozwoju... Ale, jeżeli prócz niego nikt nie potrafi?

— Kto wilków się boi, niech do lasu nie chodzi. A jeśli w rzeczy samej... No, cóż? Pomyślimy, naradzimy się. Pośród nas on nie zginie, znajdziemy dlań miejsce, wykorzystamy. Wykorzystamy w małej skali... w niewielkim kółku. My sami jesteśmy zbyt zajęci, a i lat już mamy za sobą niemało. Jeżeli spłodzimy dzieci, będzie to miało kolosalne znaczenie polityczne! Wszyscy wezmą to za nowy dowód naszej siły, naszej potęgi. No tak... A on chłopak nasz, sowiecki, komsomolec!... Odżywiać go trzeba lepiej... Mięsa, więcej mięsa! Towarzyszu Wołkow, wydajcie polecenie.

— Słucham, Pawle Piotrowiczu.

— Trofim Denisowicz, czemu nic nie mówisz? Jak to wygląda z punktu widzenia filozoficznego? Czy nie ma w tym aby idealizmu? Myślę o jego metodach.

— Ale skądże, Pawle Piotrowiczu! Tu sama dialektyka. Baza kształtuje nadbudowę, to jest socjalistyczne warunki życia wpływają na świadomość, a nadbudowa, to jest świadomość, wpływa na bazę, to jest na zapłodnienie, na procesy materialne i biologiczne. I nie kto inny, jak sam Karol Marks...

— A więc, towarzysze, organizację tej sprawy powierzymy...

VII

W ten sposób Wołodia Zaleskij został „człowiekiem z Minapu”. Wspaniałe plany ekonomiczne, niestety, nie ziściły się. Talent Wołodi okazał się zjawiskiem wyjątkowym, czymś w rodzaju talentu Paganiniego. „Góra” wyobrażała już sobie tytuły gazet w rodzaju: „Projekt poprawek do 7-letniego planu rozwoju gospodarczego, przyjęty na pod-

stawie wybitnych osiągnięć nauki sowieckiej” lub „Po raz pierwszy w historii ludzkości” lub „Człowiek sowiecki kieruje procesami biologicznymi”, lub wreszcie „Nowy triumf filozofii marksistowskiej”. Z wszystkiego tego trzeba było zrezygnować. Zresztą uczeni genetycy wyrazili przypuszczenie, że niezwykle uzdolnienia człowieka z Minapu będą mogły być przekazywane w drodze dziedziczności. Cóż, zobaczymy...

Tymczasem Wołodia mieszka pod Moskwą na dacy: je, pije, śpi, zajmuje się sportem i pod nadzorem lekarskim przygląda się telewizji. Co pewien czas przysyłają samochód, i Wołodia jedzie spełniać swe obowiązki.

Zrazu ciekawiło go, do kogo go wożą. Pytał o to wciąż, dopóki jeden z agentów mu nie powiedział:

— Ty, chłopcze, rób swoje i nic nie mów. Po co ci nazwiska? Jeśli coś się zdarzy, za nic nie odpowiadasz. A jeśli będziesz dużo wiedział, mogą powiedzieć: „Za dużo wiesz, bratku, prosimy do kantoru!”. Póki co, jesteś na cieleącym statucie: possiesz sobie i spokój”.

Wołodia zamilkł.

Żyje sobie nieźle, trochę się nudzi. Jedna myśl tylko rzuca cień na jego egzystencję: co będzie, jeżeli utraci swój talent? Instytutu przecież nie ukończył, a teraz bez wykształcenia — oj, jak trudno.

RĘCE

Ty, Sergiuszu, wiadomo, inteligent, grzeczny. To dlatego milczysz, o nic nie pytasz. A nasze chłopaki z fabryki, ci od razu bez ogródek: „Co — powiadają — Waśka, zapileś się aż do trzęsiączki? To o moich rękach, że niby ręce mi się trzęsą. Myślisz co? — nie zauważyłem, żeś mi na ręce popatrzył i zaraz odwrócił się? A i teraz ciągle starasz się patrzeć tak, żeby moich rąk nie zauważyć. Ty, bracie nie myśl, ja wszystko rozumiem — ty tak przez delikatność, żeby mnie nie skępować, nie zawstydzić. Patrz, ile chcesz patrz, wszystko mi jedno. Nie obrażę się. Też niby prawda, tak na co dzień czegoś takiego nie uświadczysz. Tylko widzisz, przyjacielu, to nie z pijaństwa. Pijam rzadko, bardziej jak kompania się zdarzy, albo okazja, ot, jak teraz z tobą. Nie może tak być, żebyśmy nie wypili za nasze spotkanie. Wszystko, bracie, pamiętam. I jakeśmy z tobą wspólny sekret trzymali, i jakeś ty z białogwardzystą po francusku gadkę odstawiał, i jak Jarosław zdobywaliśmy... Pamiętasz, jakeś na wiecu występował, za rękę mnie wziąłeś — że to ci się akurat nawinałem — i powiedziałeś: „O, tymi samymi — powiedziałeś — rękami...”. Ta-a-ak... Dolej, Sierioğa, dolej! Bo się rzeczywiście rozkleję. Zapomniałem całkiem, jak się ta trzęsiączka, po ichniemu, po dochtorsku nazywa. Wszystko jedno, tam gdzieś mam zapisane, potem ci pokażę. Więc tak, rozumiesz — dlaczego mi się to przydarzyło? Ano, przydarzyło się od wypadku. I jeżeli opowiadać po porządku, to ci opowiem, że kiedyśmy się demobilizowali w zwycięskim roku 1921-ym, to ja od razu wróciłem na swoją, że tak powiem, rodzinną fabrykę. Dla mnie, sprawa jasna, zaszczyty i szacunek, że niby rewolucyjny bohater, a z drugiej strony, nie zapomnij, członek partii i robotnik uświadomiony. Pewnie, nie bez tego, żebym od czasu do

czasu któremuś do rozumu nie musiał przemówić. Różni tam wtedy amatorzy do rozmów zdarzali się. „Ot — powiada taki — dowojowaliście się, dogospodarowali! Ani chleba, ani chrzanu...”. No, ja takie gadki przecinałem. Twardy byłem chłop. Mnie tam tą ich mieńszewicką plewą ślepiów nie zamydlisz. Tak! Nalewaj, na mnie nie czekaj! Przepracowałem ja na tej fabryce roczek, nie więcej — będ! — wołają do rejonowego komitetu. „Ot, powiadają, Malinin, tak i tak, masz tu skierowanie, Partia, powiadają, mobilizuje ciebie, Malinin, Wasylu Siemonowiczu, do szeregów walecznej Nadzwyczajnej Komisji, do walki z kontrrewolucją. Życzymy ci — powiadają — sukcesów w walce ze światową burżuazją i kłaniaj się od nas nisko towarzyszowi Dzierżyńskiemu, jeżeli go zobaczysz”. No a ja — cóż ja? Ja jestem człowiek partyjny. „Tak jest — powiadam — rozkaz, polecenie partii wykonam”. Wziąłem skierowanie wpadłem jeszcze na fabrykę, pożegnałem się z chłopakami i w drogę. Idę, a sam sobie w marzeniach wyobrażam, jak to ja tych wszystkich kontrrewolucjonistów zacznę wyłapywać, żeby naszej młodej władzy sowieckiej nie paszkodzili. No, więc dotarłem. Dzierżyńskiego, Feliksa Edmundowicza rzeczywiście widziałem, powtórzyłem mu od naszych z rejonowego komitetu, że go pozdrawiają. Rękę mi ścisnął, podziękował, a potem do nas wszystkich — było nas ze trzydziestu chłopów, wszyscy z partyjnej mobilizacji — ustawił nas wszystkich szeregiem i powiada, że niby na bagnie domu nie zbudujesz, trzeba, niby, przedtem bagno osuszyć, a że, niby, przy tym musowo różne tam ropuchy i gady wyniszczyć, to — powiada — jest żelazna konieczność. I do tego — powiada — my wszyscy musimy nasze ręce przyłożyć... Znaczy się, opowiedział coś w rodzaju jakiejś bajki, czy też anegdoty, a wszystko naturalnie zrozumiałe. Sam surowy, nawet się nie uśmiechnie. Potem nas przydzielać zaczęli. Co za jeden, co i skąd — rozpytuja. „Wykształcenie — powiadają — jakie?”. A u mnie wykształcenie, sam wiesz, jedna wojna z Niemcem, druga — domowa, i że za warsztatem namęczyłem się — ot, całe moje wykształcenie. Owszem, przez dwa roky do parafialnej szkoły przy cerkwi chodziłem. No, więc naznaczyli mnie do oddziału specjalnej służby, a jeżeli zwyczajnie mam powiedzieć — do wykonywania wyroków. Praca, nie mogę powiedzieć, żeby była trudna, ale lekką też jej nie nazwiesz. Serce, że tak powiem, porusza. Inna sprawa, sam wiesz, na froncie: albo ty jego, albo on ciebie. Ale tu... No, pewnie,

przyzwyczałem się. Idziesz za nim przez podwórko, a sam rozmyślasz, sam sobie wyjaśniasz: „Musowo, Wasylu, musowo! Jak ty go teraz nie wykończysz, to on, gadzina, całą Sowiecką Republikę przerobi”. Przyzwyczałem się. Wiadomo, popijałem, bez tego się nie obejdzie. Spirytus nam dostarczali. Na temat tam jakichś specjalnych deputatów, że niby czekistów czekoladą i białymi bułkami karmią, to wszystko burżuazyjne zmyślenie; deputat, racja niby, zwyczajna, żołnierska — chleb, kasza i ryba. Ale spirytus, rzeczywiście, dawali. Bez spirytusu nie ma jak, to sam wiesz. No, więc tak! Popracowałem ja takim sposobem siedem miesięcy i właśnie wtedy zdarzył się ten wypadek. Kazano nam puścić na likwidację partię popów. Za uprawianie kontrewolucyjnej propagandy. Za złośliwe podejsie. Że niby oni tam parafianom zamęt do łbów wprowadzali. Coś tam, jakoby z powodu tego partiarchy, Tichona. Czy też w ogóle przeciw socjalizmowi — dobrze nie wiem. Jednym słowem — wrogowie. Dwunastu ich było. Komendant się tam rozporządził: „Ty — powiada — Malinin, weźmiesz trzech, ty, Własienko, ty, Gołowczyner, i ty...”. Przepomniałem, jak tego czwartego nazywali. Łotysz był, nazwisko jakieś dziwaczne, nie nasze. Ten Łotysz i Gołowczyner pierwsi poszli. A u nas to już tak było urządzone: izba wartownicza, to ona była jak raz pośrodku. Z jednej strony, znaczy się, taki pokój, gdzie skazańców trzymali, a z drugiej strony — wyjście na podwórko, Braliśmy ich w pojedynkę. Jednego na podwórku wykończysz, odciągniesz go z chłopakami na boczek i wracasz po następnego. Odciągać na bok było musowo, bo, zdarzało się, wyjdiesz z następnym, a ten zobaczy nieboszczyka, zaczyna rzucać się i wyrwać — kłopotu tyle, a i w ogóle pracowniej wychodzi. Lepiej już, jeżeli nie krzyczą. No więc, znaczy się, Gołowczyner i Łotysz wykończyli swoich, przychodzi kolej na mnie. A ja już przedtem trochę tego spirytusu wychyliłem. I nie to, żeby mnie jakaś bojaźń ogarnęła, czy żebym specjalnie miał jakąś słabość do religii. Nic z tego, jestem człowiek partyjny, twardy co do przekonań, żeby tam różne bzdury — bogowie tam jacyś, aniołowie, czy archaniołowie — nie wierzę, a jednak jakoś zrobiło mi się niewyraźnie. Takiemu Gołowczynerowi to łatwo, Żyd przecież, a u nich, powiadają, nie wiem czy to prawda, nawet świętych obrazów nie ma, a ja siedzę, piję i ciągle mi do łba jakieś bzdury leżą: jak to matka nieboszczka we wsi do cerkwi prowadziła i jak naszemu popowi ojcu Wasylemu, rękę całowała, a on — stary

już był — cały czas imiennikiem mnie nazywał... Ta-aak... No, więc poszedłem, znaczy się, po pierwszego, wyprowadziłem go. Wróciłem, zakurzyłem odrobinę, wyprowadziłem drugiego. Znowu wracam, wypilem żdziebłko tego spirytusu i coś mnie wzięło. „Zaczekajcie — powiadam — chłopcy, zaraz wrócę”. Położyłem mauzera na stole i wychodzę. Myślę: przepiłem się, chyba. Zaraz wsadzę paluchy w gębę, wypróżnię się, umyję, i przyprowadzę samego siebie do porządku. No, więc, polazłem, zrobiłem wszystko, co było trzeba, nie — nic mi nie ulżyło. No, niech ci będzie — myślę — pies ci mordę lizał, skończę za chwilę z wszystkim i — spać! Wziąłem mauzer, poszedłem po trzeciego. A ten trzeci był młody jeszcze, dobrze się prezentujący, urodziwy popiszcze, no, jednym słowem — kawał chłopca. Prowadzę go przez korytarz, patrzę, jak długie poły sutanny podnosi w progę, a tu na mdłości jakoś mi się zbiera, nie mogę zrozumieć co się dzieje. Wyszliśmy na podwórkę. Pop brodę do góry zadziera, patrzy w niebo. „Maszeruj — powiadam do niego — ojczulku, nie oglądaj się! Sam sobie — powiadam — raj wymodliłeś!”. To ja tak, znaczy się, poartowałem tylko, żeby się na duchu pokrzepić. A po co — sam nie wiem. W życiu ze mną coś podobnego nie zdarzyło się, żeby ze skazanymi na śmierć gadki odstawiać. Przepuściłem go na trzy kroki naprzód, jak być powinno, wstawiłem lufę mauzera między łopatki i wystrzeliłem. Mauzer, to on, sam wiesz, jak bije — istna armata! I odrzut taki, że mało co, a wyrwałoby ramię z barku. I patrzę się ja, uważasz, i widzę że ten rozstrzelany pop odwraca się i zaczyna iść na mnie. Naturalnie, nie zawsze za pierwszym razem skończysz: poniektórzy od razu się walą, jak worek, inni na miejscu kręcą się, jak bąk, a zdarza się, maszerować zaczynają, zataczają się, jak pijani. A ten idzie prosto na mnie drobnymi kroczkami, płynie w tej swojej sutannie, jakbym w ogóle do niego nie strzelał. „Co ty — powiadam — ojcze, stój!”. I jeszcze raz przyłożyłem lufę — do piersi. A on sutannę na piersi rozrywa, bracie, rozchyła na oścież — a pierś włochata, kędzierzawa, idzie i krzyczy na cały głos: „Strzelaj — powiada — do mnie, Antychryście! Morduj mnie, Chrystusa swojego!”. Straciłem głowę zupełnie, wygarnąłem do niego jeszcze raz i jeszcze. A on nic — tylko idzie! Ani na nim rany, ani krwi, idzie i modli się: „Panie, otoś zatrzymał kulę, z czarnych rąk wymierzona! Za Ciebie mękę przyjmuję! Nikt duszy żywej nie zamorduje!”. I jeszcze coś tam... Nie pa-

mięta już, jak ja cały magazynek wystrzelałem; tylko jedno wiedziałem na pewniaka — nie mogłem chybić, toż biłem w niego z dwóch kroków. Stoi przede mną, oczy gorejące jak u wilka, pierś obnażona, a nad głową coś jakby blask świeci — później dopiero wpadłem na to, że mi słońce przesłonił, pod zachód wtedy się miało. „Ręce — krzyczy — ręce twoje we krwi! Popatrz na swoje ręce!“. Rzuciłem mauzer na ziemię, lecę na odwach, przewróciłem kogoś we drzwiach, wbiegam na odwach, a tu chłopaki patrzą na mnie jak na pomyłonego i rżą wielkim śmiechem. Chwyciłem karabin ze stojaka i krzyczę: „Prowadźcie — krzyczę — tej samej chwili do Dzierżyńskiego, bo jak nie, to ja was wszystkich wykłuję!“. No, więc odebrali karabin, poprowadzili szybkim marszem. Wchodzę ja do gabinetu, wyrwałem się towarzyszom i powiadam, a sam drżący, jękam się: „Rozstrzelaj mnie — powiadam — Feliksie Edmundowiczu, nie mogę ja tego popa zabić!“. Tylko powiedziałem, walę się na podłogę, nic już więcej nie pamiętam. Przyszedłem do siebie w szpitalu. Lekarze powiadają: „Nerwowy wstrząs“. Leczyli mnie, żeby prawdę powiedzieć, dobrze, troskliwie. I pielęgnacja i czystość, jedzenie także, jak na owe czasy dobre, lekkie znaczy się, odżywienie. Wszystko wyleczyli, tylko to jedno — sam widzisz — ręce trzęsą się jak w trzęsiącce. Widocznie, ten ów wstrząs nerwowy w ręce przeszedł. Z Czeki mnie, naturalnie, zwolnili. Tam nie takie ręce potrzebne. Za warsztatem, rzecz jasna, także z powrotem nie staniesz. Przydzielili mnie do fabrycznej składnicy. Cóż, tam także robię swoje, pożyteczny jestem. Co prawda, papiery tam różne, frachty, tego sam nie piszę z powodu rąk... Pomocnicę mam do tego, sprytna taka dziewczynina. No, i tak, bracie, się żyje. A co do popa, to dopiero później dowiedziałem się, jak cała sprawa wyglądała. Niczego tam takiego, żeby od Boga, to nie było. Po prostu, jakem na podwórko wyszedł, żeby się trochę podciągnąć, nasze chłopaki magazynek z mauzera wyjęli i włożyli inny — ze ślepakami. Pożartowali, znaczy się. Cóż, ja się na nich nie gniewam — młodziaki przecież, a znowu im też słodko nie było, no, to wymyślili zgrywę. Nie, żadnej urazy do nich nie czuję. A tylko ręce... ot, do żadnej już roboty nie nadają się...

SPIS RZECZY

ODKUPIENIE	7
MÓWI MOSKWA	59
CZŁOWIEK Z MINAP'u	99
RĘCE	119



A C H E V E D'IMPRIMER
LE 23 N O V E M B R E 1965
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, R U E S T E P H E N S O N ,
PARIS (XVIII^e)

Dépôt légal : 4^e trim. 1965

Inst. Littéraire
Paris
26.11.66.

Cena egz. 9 F (dol. 2,00; 13/6)

2